

Leszek Żuliński

Chandra

wydawnictwo
adam marszałek



SERIA
LIRYKA POLSKA

Redaktor serii
Marek Wawrzkiwicz

Redaktor prowadzący
Anna Gocłowska

Redaktor techniczny
Jan Śliwa

Korekta
Anna Gocłowska

Okładka
Krzysztof Galus

*Na okładce wykorzystano rysunek autorstwa Egona Schielego
„Kobieta w kapeluszu z szerokim rondem”*

© Copyright by Wydawnictwo Adam Marszałek
Toruń 2007

ISBN 978-83-7441-833-1

Wydawnictwo prowadzi sprzedaż wysyłkową
tel./fax 056 648 50 70, e-mail: marketing@marszalek.com.pl

Wydawnictwo Adam Marszałek
ul. Lubicka 44, 87-100 Toruń, tel. 056 660 81 60, 056 664 22 40
e-mail: info@marszalek.com.pl, <http://www.marszalek.com.pl>
Drukarnia nr 2, ul. Warszawska 52, 87-148 Łysomice, tel. 056 659 98 96

Chandra miłości

(wiersze podszyte nadzieją)

Tryptyk aforystyczny

W zakolach mózgu
nie ma wiraży –
są miraże.

W komorach serca
dusi nas cyklon
uczuć.

W gorejącym krzewie krocza
jednym otwiera się niebo,
innym piekło.

Te ciemne dni bez miłości

W końcu uczeni odkryli tajemnicę miłości:
zależy ona od poziomu
fenyloetyloaminy,
dopaminy,
encefaliny,
i endorfiny
we krwi.

Szkoda,
że nie umiemy wyjaśnić,
dlaczego w mojej krwi
płynie także smoła,
od której odbijają się w przestworza
nieme łabędzie
coraz bardziej czarnego
dnia.

Sawanna,
galop smagłych antylop,
szept bliźniąt gazelich,
kocie pazury,
zęby, wargi łączące,
moreny zadyszki,
wodogrzmoty krzyku,
garota twoich oszalałych ud,
fatamorgana lotu,
łagodnie lądowanie...

Ach, te twoje brewerie łożkowe,
ty wyuzdana
dziwko,
ty moja słodka,
omdlała,
czarnowłosa
Chandro.

Nad ranem

... i wtedy powieki zaszyły ci ołowiem,
pod arkadami rzęs rozpełzł się cień,
przez kręgosłup przebiegł truchtem
pierwszy goniec odprężenia;

jeszcze miałaś pąs na pośladkach,
galop w biodrach,
na końcach palców stygnący dreszcz dotyku,
na ustach zdrzemnął ci się ostatni krzyk;

podszedłem do okna,
na dalekim horyzoncie noc
układała się pod dniem;

robili to samo, co my:
wykluczali się i splatali,
zaprzeczali się i tworzyli,
a świt od tysięcy lat
przymykał oczy
na obroty ciał niebieskich
i wniebowziętych.

Wilczy głód

Wyszła tak nagle,
że – zdaje się – na zawsze.

W rozgrzanej pościeli
porzuciła łakome wilczki
mego pożądania.

Chwyciłem poduszkę i zacząłem dusić ścierwa,
(kilka razy wierzgnęły nogami i było po wszystkim).

Teraz zaczniemy od nowa,
bez tych nienasyconych bestii,
bez imperatywu dotyku,
bez wilczego głodu
jej ciała.

Małe perwersje

Ach, musnąć ustami skrzydełko jej nosa,
wessać się w płatek ucha,
pocałunkami liczyć palce u nóg,
po schodkach kręgosłupa wspinać się językiem,
zwiniętym w kłębek zasnąć pod jej pachą,
wplątać się we włosy nietoperzem dłoni,
w twarde kamyki pozaklinać sutki,
biodra opłynąć łodzią Magellana,
na Saharze jej brzucha dyszeć z gorąca i pragnienia,
w dolince obojczyka zasklepić się
i ćwiczyć nieistnienie.

Duże perwersje *

Erotyk bez sensu

To jest erotyk bezcielesny,
jego dotykiem jest sen,
tylko pod powiekami otwiera się ciało,
tylko w ramionach snu
zamyka się spełnienie.

To jest erotyk bez pocałunku,
jego ustami jest język,
tylko ten wiersz muska jej usta,
tylko w jego szepcie
zakwita czerwień jej warg.

To jest erotyk bez dłoni,
jego ręce zostały odcięte,
były niepotrzebne i popełniały
grzech natręctwa. Teraz leżą
jak najdalej od niej.

To jest erotyk bez sensu,
ponieważ miłość pozbawiona dłoni
jest powieką bez oka, wykrwawioną
wargą krzyku, szepciem zmierzającym
w milczenie.

* *Wiersz zdjęty przez autocenzurę.*

Sobą?

Powiedziała: Kocham.

I co ja mam teraz zrobić?
Pod ręką żadnej wysokiej góry,
żeby wejść i krzyczeć,
wzbić się i poszybować,
żadnej pieczary, grotty, żeby przycupnąć,
schować się przed blaskiem słów,
płonących w gardle.

Kocham...
Co mogła mieć na myśli,
może nic?

Kocha,
ale czy umiera od tego słowa, czy cierpi,
czy biegnie do mnie przez zasieki,
kosmosy, łąki i żużel czasu,
czy niesie mi swoją nagość
jak nacięty pień brzozy,
przy którym ugaszę
ogień ust, gardła i dłoni?

Czy dotknie mnie swoją zagwią,
od której ogień ust, gardła i dłoni
wybuchnie na nowo?

Czy kiedy ona kocha,
to sobą,
czy dla siebie?

Erotyk do rywala (II)

Wiem, on chodzi za mną,
czuję na plecach jego zimny wzrok,
czuję jak czyta moje wiersze, moje listy do ciebie,
słyszę jak krzyczy na ciebie, jeszcze chwila,
a uderzy cię w twarz,
trzaśnie drzwiami i zniknie.

Może on płacze,
może gryzie palce i bije głową
w niewidoczną ścianę przekłętego losu,
może grozi ci pięścią i wyzywa od dziwek,
może pije za dużo
i zaciska usta
do krwi?

Może obejmuje mnie ramieniem
i mówi: bracie, rozumiem cię, ale
odpierdol się od niej.

Albo każdego wieczora wyciąga z szuflady pistolet
i patrzy zakochanym wzrokiem w czarne oko lufy.

Przygarnę go do siebie, powiem: sorry, zdejmij ze mnie winę,
wybacz, to tylko zwykła walka, w której nie wygrywa nikt,
oprócz miłości;

odejdz, wracaj skąd jesteś,
z Nowego Sącza, Pisza, Wrocławia,

musisz z tym żyć;

pomyśl, że robisz to dla niej.

Moja Ef

Ef – jak frigida,
zimnopalca jutrzienka, dłoń lodowca,
wiadro studziennej wody, dreszcz mrozu
idący przez kręgosłup i osiadający szronem
na skroniach,
ognioodporna, bezcielesna, azbestowa,
moja niekochanka.

Ef – jak *femme fatale*,
amazonka apokalipsy, kamienna lawina
ból i upadku, diaboliczna wcielona
z raciezkami zamiast ze szponami w miejscu,
żelazna gąsienica wgniatająca
w niebyt dygoczącego
we mnie kochanka.

Moja Ef,
moja Efemeryda,
łąka jednodniówka.

Moja miłość zahibernowana
w ogniu samospalenia.

Moje
fszystko.

Bitwa pod Wzruszeniem

No więc jak
pokonać fosę pełną lirycznego błękitu,
wspiąć się po szklanej górze uczuć
do zamczyska,
sforsować bramę osobności,
dotrzeć poprzez zasieki odmowy
i mimozy wzdragania
do sypialni,
i zdobyć mury twojego ciała
tak kruche i nokturnowe,
że ręka zanim sięgnie
– zawaha się.

... żeby przynajmniej most zwodzony,
lampka na parapecie,
biała chusteczka...

... ale wiem
tu nie można z ciężką konnicą,
ani buzdyganem przymusu,
tu trzeba zacząć od chmur
– żeby się rozeszły –
i w świetle dnia
pokazały zwykłą ścieżynkę do zamku,

i żeby jeszcze była wiosna,
i żeby fiołków można było narwać
po drodze.

Kapitulacja

Wybacz,
wydałem rozkaz odwrotu wojsk,
rozbijam maszyny oblężnicze,
moi żołnierze w podartych onuczach,
zakrwawionych bandażach,
noga za nogą
wloką się do domu.

Po drodze
końskie ściery, ślady wypalonych ognisk,
trupy słów, rozkładające się metafory,
odwołane puenty, pytańniki, wykrzykniki;

bukieciak fiołków wypadł mi z ręki,
nie wiem, w którym miejscu...

... muszę zawracać.

No bo jak podnieść kruchą filizankę twego ciała do ust
tymi drżącymi rękoma,
jak złapać piórko twego oddechu ustami,
które drewnieją, stanąć na przylądku Horn,
kiedy każdy powiew wiatru wywraca
mnie na opak.

Jak osiągnąć latawca młodości,
kiedy nogi już w ziemi?

Co ja bym zrobił z tym zwycięstwem,
jak ja bym się z niego
pozbierał?

Jej Pacyfik

Mówisz, że twój ocean to Pacyfik.

Jaki tam Spokojny,
raczej Ocean Samotności,
wysokie ostre brzegi,
a w środku step.

Tej właśnie bezkresnej przestrzeni
boją się mężczyźni, tam możesz
ich zagonić jak zdyszane odyńce,
zapędzić na śmierć,
tam nie ma dla nich ocalenia,
nawet instynkt obraca się przeciw nim.

W literaturze przedmiotu
opisane zostały dwa wyjścia.
Pierwsze: połóż się naga na brzegu
nieдоступnym i wrogim,
odbijaj wysokie fale wstrętem, ironią i chłodem;
drugie wyjście – trudniejsze:
rozkaz Syrenom, aby wezwały mężczyzn
w sam środek topieli.

Wtedy ocean pochłonie cię,
przyływ i odpływ, przyływ i odpływ,
i nic więcej,
nic!

Ale już to wystarczy,
byś odzyskała
Spokój.

Hostia

Gali

Kiedy brała mężczyznę w usta,
brała cały świat.

Ten, który leżał odłogiem poza granicami nadziei,
który był łodem bez wizy, ogrodem obróconym
w piasek;

unosila się w niebotyczność żurawia
po mityczne wiadro wody,

jej ręce obejmowały kulę ziemską,
były to biodra mężczyzny,

po ich orbicie zatoczyła trajektorię
niedowierzania i zachwytu,

nad ranem obudziła się z twarzą na jego piersi,
nie wiedziała, gdzie jest, co robi,
czuła tylko, że świat faluje, wznosi się
po równoleżniku oniemiaenia,
tropikalna roślinność wypełza
na piaski ciała, ogrody się podnoszą.

Mężczyzna chrapał jak bóg po stworzeniu świata,
żuraw, tam, w dole zaczerpywał
nowej wody
życia.

Kobiety Egon Schielego

Nie mają tła, są wyodrębnione ze świata,
ich przeznaczeniem jest samotność,
ich istotą jest nagość,
najbardziej lubią zielone lub niebieskie pończochy,
zdarza się, ale wyjątkowo rzadko,
jakiś pomarańczowy peniuar lub inny detal,
ich głównym zadaniem jest rozchylenie nóg,
nie wiadomo dlaczego,
nie wiadomo po co,
przecież mężczyźni występują na zupełnie innych
obrazach Egon Schielego,
prawdopodobnie chodzi o to, by na skrawku białego ciała
wygrzewała się czarna kotka ich sromu,
kobiety te mają wyeksponowane kolana
po to, by na nich klęczeć i wypinać pośladki
lub uwidaczniać rozmiar wyuzdania,
ale to im się nie udaje (to wyuzdanie),
ponieważ nikogo nie kuszą,
jeśli uprawiają miłość, to z innymi kobietami,
może to zresztą jest tylko przyjaźń potrzebująca dotyku,
trudno powiedzieć...

Nie wiemy, co kobiety Egon Schielego myślą, kim są,
na ich twarzach nie ma ani radości, ani smutku,
ich oczy nie zdradzają uczuć, nie wiemy o nich nic,

jednak ich nagość jest tak daleka i obca,
że biegniemy do nich przez sen, bierzemy je w ramiona,
nazywamy je imionami naszych żon lub kochanek,
przykrywamy je kołdrą, żeby się nie przeziębily,
głaszczemy czarną kotkę po wilgotnym grzbiecie.

Pytanie o sens

Śnią mi się nagie kobiety
Amadeo Modiglianiego,
Paula Delvaux,
Egona Schielego,

ich ciała odziane w sen,
ich leżące nogi, brzuchy, pośladki,
ich byt horyzontalny
wypełniający widnokrąg
mojej rozpaczy.

Między ich kuszeniem
a moim pragnieniem
pancerna szyba snu.

Nawet twoja dłoń, którą trzymam w ręku,
ten odsłonięty kawałek śniadej skóry,
gładkiej jak jedwab wyobraźni,
napawa mnie paniką.

Czy coś, czego pragniemy,
może naprawdę istnieć?

I czy to ma sens?

Spis cudzołożnic

Coco Chanell,
Emily Dickinson,
Marlena Dietrich,
Isadora Duncan,
Leonor Fini,
Greta Garbo,
Mata Hari,
Erica Jong,
Janis Joplin,
Frida Kahlo,
Madonna,
Katie Melua,
Marylin Monroe,
Anaïs Nin,
Halina Poświatowska,
Stanisława Przybyszewska,
François Sagan,
George Sand,
Susan Sontag,
Britney Spears
Elsa Triolet,
Virginia Woolf...

... wszystkie mnie zdradziły,
wszystkie mnie opuściły,
wszystkie mnie zabiły...

Wszystkim zawdzięczam swoje bezsenne noce,
z których się nie budzę,
idę ku nim przez wysokie fale odpływu,
patrzy na mnie oko cyklonu,
wzywają mnie syreny
śmierci.

Kot w worku

Jesteś jak szkatułka;
mężczyźni wrzucają tam złote kolczyki, pierścionki,
samochody, podróże, suknie z najdroższego jedwabiu,
które potem myślą im się z twoją nagością;

albo jak kuferek – na jego dnie nie wysłane listy, wiersze,
które wstydziłaś się pokazać komukolwiek, myśli,
od których odwracasz się plecami, sny o mężczyznach
dotykających jak chiński sklepikarz jedwabiu twojej skóry
i łudzających się, że nitka zaprowadzi ich do kokonu,
gdzie spoczywa zwinięta w embrion dusza.

Powietrze pachnie morwą,
dusza popiskuje w panice,

gdy czujesz, że nadchodzi ktoś,
kto ma kluczyk, otworzy cię,
zacznie cię wyjmować,
wywlekać, zawłaszczać –
zatrząskujesz się jeszcze bardziej,
udajesz pusty worek z juty,
robisz wszystko, żeby się w nim schować
i stać się nierozpoznawalna,
tak jak w tytule tego wiersza.

Można cię kupić tylko za czułą walutę dłoni
i szeptanie egipskich bajek,

wtedy twoje szkatułki i kufierki uchylają wieczka,
mruczą.

Kot

Bóg stworzył kota, by wyrzeźbić dotyk,
kot jest futrzaną statua dotyku,
na widok dłoni przez ciało kota przebiega prąd wysokiego
[napięcia

albo wysokie C w wykonaniu Elizabeth Schwarzkopf,
ten dreszcz rodzi się między uszami
i jak harmonijka trąconych kart przetacza się aż do ogona,
na myśl o dotyku kot traci zmysł rezerwy i ostrożności,
w jego gardziolku zaczyna gotować się rozkosz, stan jej wrzenia
[nazywamy mruzeniem,

jest to muzyka wniebowzięcia, przy której chóry gregoriańskie
wydają się prostackim rapem,

a szmer górskiego strumyka przykuca pod parasolem łopianu;
w sierści kota strzelają małe petardy zachwyty,
zaciśnięte oczy strzegą snów o Egipcie i szumiących poezją

[papirusach,
kot drzemie w ramionach błogości otwarty na 77 stronie
i śledzi myszkujące palce, które trafiają w najczulszy kłębek
[dotyku.

Blizna

Na jej policzku blizna cieniutka jak cień włosa,
daleka jak dalekie echo z zupełnie innej epoki,
na przykład z czasów tatarskiej branki
lub grzybobrania w brzezynie,
kiedy to potracona przez Telimenę
gałązka strzeliła pejczem w policzek.

Wtedy
czerwona krecha krwi musiała
wypłynąć na wierzch
niczym tęcza po burzy.

Dzisiaj to moja czułość:
czy jeszcze boli w pamięci?
czy otwiera się, gdy zranić ją
wspomnieniem?

Blizna milczy, wtedy jest naprawdę
i tylko dlatego się podoba.

Gdyby zaczęła krzyczeć, tupać nogami,
zgłaszać pretensje i roszczenia,
to by znaczyło, że jest nie na swoim miejscu
i kryje ranę, którą na bliznę nie stać.

Nasza komedia

Żonie

Piął się do Raju przez Piekło i Czyściec;
nic się od tamtej pory nie zmieniło.

Po Piekło oprowadzał go Wergiliusz,
po Raju – Beatrycze,
po Ziemi – Gemma di Manetto Doneti.

Wergili był Mistrzem,
Beatrycze – Marzeniem
Gemma – żoną,
(piszę ten wyraz z małej litery,
wiem, co robię).

Dante to jeden z nas,
wierzył w magię cyfr;
magiczna była trójka i dziewiątka,
my gramy w totolotka lub
liczymy na jednorękiego bandytę,

nie piszemy wierszy o żonach
(zupełnie jak on),
zdradzamy je z Beatrycze, Małgorzatą, Laurą...
Wierzymy w raj,
pijemy czyściec,
mieszkamy w piekle.

Nasze żony zamykają się w sypialniach na klucz,
stają nagie przed lustrem, wyglądają zupełnie tak samo
jak Beatrycze,

tylko my o tym nie wiemy;
nasze piekło wybrukowane jest marzeniami,
ale zarzygane i cuchnące niewiarą.

Wergili jest kolegą z pracy, psychoterapeutą
albo niezidentyfikowanym obiektem towarzyszącym;

nasza komedia jest
nieboska.

Luciano Pavarotti

Jego głos odrywa się od grząskiego bagna trzewi,
wydziera się z płuc, przechodzi przez łuk triumfalny krtani
i okno ust, odbija od warg, po czym zaczyna wspinać się do
[nieba;

najpierw pnie się po sękatych konarach przyziemia,
potem potrąca harfę listowia, wzbija się coraz wyżej, rozrzedzając
ciężkie warstwy powietrza, wlatuje w stromą lekkość,
przemienia ją w wysokość, powoduje błękitnienie błękitu,
jaśnienie jasności, pędzi z szybkością światła,
zrywa wszystkie cumy, rozpościera żagle,
połyka wiatr, pędzi i jak brzytwa przecina niebo,
z którego wylewa się śpiew
oniemiałego zachwytu.

6 września 2007 r.

Święta Monika

Monice Brzęk

Monika to moja znajoma,
zwykła dziewczyna,
nad którą unosi się aureola
dobrych uczynków.

Kiedy Monika ma trochę wolnego czasu,
wsiada w pociąg i jedzie kilkaset kilometrów,
by w swoim miasteczku pomagać chorym,
przybitym do inwalidzkich wózków.

Mówi: oni dają mi duszę,
a ja im swoje nogi.

I tak idą –
oni mimo choroby,
ona mimo zmęczenia,

a nad nimi skowronek duszy
śpiewa jak oszalały.

Démon de midi (II)

Boże, to przecież miało być popołudnie fauna,
a jest infernum demonów,
miały być Laury i laury,
a tu wypełzają larwy, szczerzą się maskary,
ze stłuczonego zwierciadła losu wyskakuje
Quasimodo o oczach bazyliuszka,
wiesza się na mojej aorcie
i tak kołysze dzwonem,
że aż serce pęka.

Obraz w ramie

Zapamiętać jej obraz, zakleszczyć go w źrenicy,
przykleić do siatkówki, wytatuować na skórze snu,
ułożyć w nosidełku wyobraźni,
mieć stale pod ręką zatoczki jej uszu, skrzydełka nosa,
kąciki warg, ruchome wydmy brwi,
markizy rzęs, pod którymi faluje fiolet zachodzącego dnia,
i jeszcze profil szyi, skąd ześlizguje się refleks błękitu
i mgielka ostatniego pocałunku.

Zatrzymać ten obraz w sobie, we krwi,
odcisnąć w liniach papilarnych, w zwojach pamięci,
w płucach, w łędźwiach,
być jego kapliczką,
jego zapisem,
ramą.

Poderżnięte gardło ciała

Za matową szybą twoje nagie ciało
z beżowymi wykrzyknikami piersi
i zagajnikiem mrocznych baśni.
Gdybym chciał się tam wedrzeć,
musiałbym stłuc kruchą porcelaną
obaw, dotknąć wnętrza twojej nocy,
rozdygotać twe pola lemieszem dłoni.

Za wysoką górą mego wyrzeczenia
maligna oskomy, galopujący
oddech krwi, skowyt pragnienia.
Gdybym chciał ugasić ten pożar,
musiałbym zamienić się wewnątrz
w lodowaty strumień obojętności,
kamień albo truchło.

Za ścianą, którą żmudnie stawiamy,
rozpościera się osobność. Dłoń uchyla
się dłoni, usta zagryzają każde słowo,
cisza zadaje rany i odtrąca; nic nie zbliża,
wszystko oddala. Bliskość jak stracha
na wróble ubieramy w ohydne szmaty
grzechu. W polach ucicha śpiew ptaków.

Ciemność, cierpkość

Kiedy oparła się o brzozę,
chciałem wejść w nią ustami, wdrzeć się aż pod białą korę,
aż do źródelka śliny, lepkiego soku posoki, nektaru odurzenia,
wysać z niej to słowo, które nigdy nie padło, wydrzeć na

[wierzch to uczucie,

którego ona boi się jak starości albo zarazy,
wejść razem z nią w to drzewo, zapuścić korzenie w jego

[korzenie,

wystrzelić do góry mlekiem życia, niech się przebija przez jej

[skórę,

wypływa na wierzch białą plamą entuzjazmu, kapitulacji,
zieloną kopułą liści, koroną radosnego poszumu, stanowczym

[pniem

wiecznej erekcji wszystkiego.

Och, życie, padnij w moje ramiona, strać na chwilę przytomność,
omdlej w gorączce moich omdleń,

wzmę ją na ręce i poniosę przez tę łąkę, będę jak korab

płynął przez ocean traw, maki, chabry, bławaty niechaj jej

[zazdrozczą

tej branki, niech cała łąka wyszepcze: chwilo trwaj,

niechaj się zbiegną polne myszy i oplotkują ten widok,

kosy i drozdy niechaj go wyśpiewają w podniebnym kościele,

a wiatr niech nieustannie pobudza brzozowe witki,

wychłostujące spod skóry jej urodę, wypędzające rumieniec

na jej pośladki, tak niech cała płonie jako i ja płonę, krwawię

[czereśniowym

sokiem i umieram ukłuty cierpkim kolcem tarniny

w sam środek serca.

Tam, gdzie nie ma miłości – jest śmierć;

łąka zamienia się w siano, brzozy szarzeją,

dzień szarzeje, rumieńce życia bledną,

staje się ciemność,

cierpkość.

Droga z Krakowa do jesieni

16 listopada 2006 roku wracałem samochodem
z Krakowa do Warszawy.

Przed Kielcami droga prowadziła przez las,
nie wiem jaki, na pewno liściasty.

Słońce stało wysoko w to listopadowe,

pogodne przedpołudnie,

udawało swój sierpniowy wigor;

nagle las zaczął zachodzić miedzią,

głębką, soczystą, z tu i ówdzie połyskującymi
refleksami ostatnich promieni.

Miedź jest kolorem ciężkim,

czasami przypomina złote płytki

na kopułach kremlofskich cerkwi,

kiedy słońce dezerteruje z Rosji na Zachód

z pochyloną dla niepoznaki głową,

albo kojarzy się z kuchennymi garnkami

z obrazów Vermeera lub Rembrandta, albo z głową

wenecjanki tonącą w ciemnozłoty lokach,

które przy najlżejszym wietrzyku przemykającym po Canale

[Grande

podskakują jak ogonki wiewiórek goniących się po kasztanowcu,

z którego kasztany jak ciężkie miedziane śnieżynki

spadają na nas podczas baraszkowania z jesienią.

Jesień młoda ma raczej odcień mosiądzu,

późna podchodzi miedzią, jakby się razem z lisami

rdzy napila z jednej kałuży,

potem leży ciężka, opita, z gardłem okupowanym przez stadko

małych rudzików zaczynających gulgotać ponurą pluchą.

O czym to ja miałem pisać ten wiersz?
ach, o jeździe przez las pod Kielcami;
tak,
pamiętam, im bardziej oddalałem się od Krakowa,
tym bardziej pokrywał się zgniłozieloną patyną
miedzianobrody władca
mego wieku.

Napisz mi, Droga

Dzień 14 marca 2007 roku był jednym z tych pięknych
tegorocznej, wczesnej wiosny;
niebo zaścieniał blady błękit,
drzewa prostowały plecy po zimie,
zieleń, jeszcze niewidoczna, już drażniła źrenice;
jechaliśmy drogą przez Wyszaków, Ostrołękę, Łomżę
do Pisz, a może powinno się mówić do Pisz
albo drogą na Pisz?
napisz mi, Droga, jak to powinno brzmieć poprawnie...

Zapytałem przechodnia, jak daleko do Ostrołęki,
a on mi, że to jest właśnie Ostrołęką,
poczułem się tak, jakbym jadąc z tobą, Droga,
stał w miejscu,
a na Pisz, mówi przechodzień, to w lewo i na Łomżę...

Myślałem, że Łomża już za nami,
a ona przed nami dopiero.

Potem był szpaler brzoź, piękny, przydrożny,
stojący jak sztywny szyfon spódniczek w jeziorze łabędzim
i zarazem płynący wzdłuż tafli asfaltu obok naszego auta;

to tam powinienem był się zatrzymać, objąć cię w tych brzożach
i wypić sok z naciętej rany twego wzruszenia;
napisz mi, Droga, czy myślałaś o tym samym,

bo czasami jest tak, że chcemy być w Ostrołęce
i nie wiemy, że właśnie w niej jesteśmy,
żegnamy Łomżę, a ona dopiero przed nami,
a na Pisz droga skręca w lewo, potem już prosto...

Napisz mi, Droga, dokąd jedziemy
i jak się w tym wszystkim połapać?

Podróż do kresu nocy

Jechaliśmy ze Staufen na północ;
droga łapczywie nawijała nas na kłębek asfaltu,
jakby chciała, abyśmy przepadli
w czarnej paszczy Podróży.

Jesień stała na drodze,
brała nas w swoje ramiona,
otulała szalem pejzażu, przypinała do życia
pasem wzruszenia;

z nieba lało się złoto i opadało na drzewa
najpierw bladą, spizową poświatą, potem
ciężką miedzią, a może tombakiem,
bowiem złoto jesieni to liche makijaż przemijania,
za jego światłem kryją się zmarszczki mroku.

Skęciliśmy do Baden-Baden;
pod długą arkadą Trinkehalle drzemał czas
sprzed dwustu lat; cień wieczoru opadał na ziemię;
wyraźnie widziałem, jak zostają za tobą; kąsały mnie
harpie przeszłości, ty uciekałaś w siebie,
byłaś coraz dalej i dalej.

Nie wiem, gdzie jesteś teraz, pędzę sam;
droga owija mi się wokół szyi jak szal Isadory,
jesień wydobywa z mojej twarzy zmarszczki,
na ustach – spierzchnięte milczenie, w opuszkach palców
pulsuje niepamięć twojej skóry, w oczach panika,

która z piskiem opon mózgowych
wyrzuca mnie z zakrętu w otwarte ramiona
nocy.

Czy dojedziemy, Droga?

Moja samotna podróż 22 czerwca 2007 roku –
to wtedy dogorywał pierwszy dzień lata,
noc krótka, droga długa, świętojańskie przesilenie,
niecierpliwość serca, oddech jak ognik
albo żar papierosa migoczący w oddali,
gasnący i znów zapalający się,
a może była to latarnia morska, ale skąd tu latarnia,
w samym sercu Mazowsza,
już raczej wilki.

Twój fotel był pusty, jechał obok mnie,
rozmawialiśmy szeptem, trzymałem cię za rękę,
domyślałem się, że te ogniki przede mną to twoje oczy,
księżyc wisiał nad drogą jedną połówką swej twarzy,
odbijał się w szybie auta niczym w tafli jeziora
i zaraz tonął w asfalcie z pluskiem astralnej rapsodii.

Nie mam żadnej pewności, ale jego drugi profil
mógł należeć do ciebie.

Więc jednak jeszcze jedziemy razem
w głąb tej niepewnej czerni, za światelkiem księżycy,
przyciągani jego grawitacją i wyciem wilków,
które budzą się w nas, podchodzą, zapalają ogniki głodnych
[źrenic,
rozpychają pobocza drogi pulsującymi chrapami,
węszą twoje seledyny, róże i brązy,
moje poblądłe, lunatyczne myśli, srebrne próśnienie snów
i kurczący się azyl nocy, który każdej doby zamienia się
w Syberię.

Chciałem, żebyś złapała kierownicę
i poderwała samochód w górę,
bo to wszystko dzieje się za blisko ziemi,
bo to wszystko staje się nie do zniesienia;
jeśli tej latarni naprawdę nie ma,
to trzeba w nią uwierzyć, zapalić ją w sobie
nawet na najbardziej stromym brzegu
niedorzeczności.

Camera obscura

Czekam na peronie,
wpatruję się w czarne oko tunelu, które ma
błysnąć źrenicą;

pamiętam to z dzieciństwa,
z rzadkich wizyt u fotografa,
który wkładał głowę pod czarne sukno,
zwabiał na szklaną kliszę moją twarz,
po czym jego rozpromieniona twarz wyłaniała się
na światło.

Twoja twarz wyjedzie z ciemnego tunelu,
z mojej twarzy opadnie czarne sukno napięcia.

Ale to tylko migawka,
ten sam tunel za chwilę odbierze cię,
wessie, uprowadzi, pochłonie;

czarne sukna, czarne chorągwie, czarne kotary
owiną cię szczelnie, oddadzą w mrok rozłąki.

Na peronie zostanę sam
z rdzawym posmakiem w ustach,
wizgiem szyn w nieskończoność,
stłuczoną kliszą nadziei,
odciętą dłonią Stachury.

Ciemna komnata dworca
nakrywa mnie kloszem nicości,
pociągi bez specjalnego nadzoru
odjeżdżają gdzieś beze mnie;

ja zostaję donikąd.

Rozstanie

Na peronie stoi osłupiałe Rozstanie.

Jak słup soli,
jak słup milowy wrośnięty w ziemię,
odmierzający przestrzeń i czas.

Czasoprzestrzeń,
ten wielki ocean samotności pozbawiony brzegów,
step owiewany pustką, horyzont bez wnętrza.

Pod kopułą dworca niczym suita Schönberga szaleje
muzyka metalowych wizgów i betonowych ech,
zamiast gwiazd w dół spadają kratery księżyca,
pustka ma smak żelaza,
rdzawy pył osiada na kołnierzykach i dłoniach mężczyzn,
na włosach kobiet machających z okien chustkami
pożeranymi przez Paszczę Tunelu,
tonącymi w Wielkim Akwariu Ciemności,
gdzie meduzy bezwładu wplątują Odjazd w fiszbiny
oniemiałego niedowierzania.

Księżycowy Pierrot
dotyka kryzy swego kołnierzyka,
luzuje jego ucisk,
łapie oddech.

I nic się nie polepsza,
i jest jeszcze gorzej.

Przepaść

Przepadasz mi.

Co dnia jesteś mniej, ubywa cię
po kawałku.

Coraz mniej słów, spojrzeń,
już nie ma twoich włosów, dłoni w dłoni,
za futryną drzwi widzę resztkę twojej pięty,
w powietrzu przeleciała twoja ręka (to było
wczoraj), w tym miejscu obejmowałem twoje biodro
(teraz jest tu czułe muzeum biodra), w tamtym pytałaś mnie
o wiersz (słowo czasami dłużej wisi w przestrzeni niż obraz),
ale to wszystko było dawno.

Teraz stoję jak wryty
w twojej niepamięci,
świat odjeżdża ode mnie z peronu czwartego
(on też pozostawia mnie bez sensu),
ciemność wydłubuje oczy,
próżnia rozrywa głowę,
niech to się wreszcie skończy,
niech to wybuchnie
i rozleci mnie na
kawałki.

Ubywasz i przepadasz mnie
w nieskończenie wieczne
nietrawienie.

Późne popołudnie 21 lipca 2007 roku

W parku Łazienkowskim,
nad głową Chopina,
pasły się baranki chmur,
były gęste jak tony w preludium e-moll
i przepuszczały światło jak witraże w góralskim kościółku.

Ale miało się pod wieczór.

Blask gasł, niebo siniało, baranki zbijały się w ciemne stado;
mon petite Chopinetta myślała siedząca na ławce kobieta,
ma cheri George myślał siedzący obok niej mężczyzna,
zrywał się wiatr, zakłócał pogodę i tożsamość,
jakaś dziewczyna fotografowała się na tle pomnika,
choć było jasne, że jest za ciemno,
mężczyzna zachwycał się chmurami,
choć wypełniały jego oczy szarością,
kobieta była myślami zupełnie gdzie indziej,
może słuchała *Symfonii faustowskiej* Liszta,
wszystko było tak bardzo osobne

i tak wspólne dla konstrukcji dramatu
tego niczym nie zakończonego dnia.

Wilanów, lipcowy zmierzch

Siedzieliśmy nad wodą nieruchomą jak lodowa tafła,
wszystko zdawało się zimne, a nawet martwe,
posągi sprzed dwustu lat, ściana zieleni
przypominająca dekorację teatralną,
łódki przycumowane do brzegu jak na obrazie Van Gogha,
martwa natura klasycystycznego pejzażu
z chińską altaną, która przybłąkała się tutaj
ni przypiął, ni przyłatał,
domek myśliwski, domek ogrodnika, dwa kamienne psy,
chłopiec z brązu z pelikanem z brązu,
polskie leszczyny, egzotyczne palmy,
klomby francuskie, wersalskie plafony,
antyczne wazy.

Wszystkie obrazy świata
zakłęte w jednej ramie pejzażu.

I ta żywa, ta do bólu prawdziwa scena:
tam, w oddali, chłopiec i dziewczyna na łódce,
zwróceni twarzami do siebie,
ponad burtę zamiast wiosł wystają jej nogi
obejmujące go w biodrach,
dryfują zastygli w miłości,
skamieniali we wzajemnym oddaniu,
tylko od czasu do czasu unosi się czyjaś ręka
i głaszcze czyjaś twarz,
i znowu ściana krajobrazu przykuwa ich
w nieruchomy punkt
mego zachwytu.

Tak zastyga kształt świata,
tak staje się wieczność świata.

Zuzanna i starzec

Dwuletniej Zuzi Kawie-Marszalek

Och, Zuzanno, jak dobrze, że poznamy się teraz,
nawet w kąpielni możesz czuć się bezpieczna,
ale tego nie mogę zapewnić ci na zawsze.

Za dwadzieścia lat
postawisz mnie przed obowiązkiem dośnięcia Mitu;
nie spodziewaj się, że będę na to za stary,
mit działa wiecznie,
zza grobu, zza epoki, zza węgla;
twoją rolą jest kuszenie starców,
moją – kuszenie starości.

Zobaczysz, jak wyjdzie ona z mojej skóry pod postacią
Adonisa, Gustawa, Don Juana, Romea, Casanovy, Tristana,
pięknego myśliwego, księcia z bajki, filmowego amanta
lub poety.

Nie wierz, nie ufaj,
każ im wszystkim pokazać dłonie,
jeśli będą poplamione tym wierszem – strzeż się.
Mały pożytek ze starca, wątpliwe jego lędźwie,
a i mądrości –

te trzeba uzbierać na własnych łąkach życia;
tam też, w czas sianokosów, możesz spotkać
prawdziwego mężczyznę, nie pytaj, jak go poznać,
poznasz sama:
oczy zajdą ci chabrem, usta zwilgotnieją oparem zenitu,
we włosach pojawią się skowronki, spódnica jak wielki żagiel
pchnie cię w jego ramiona.

To i dla mnie ulga,
zabiję w sobie Mefista, zabiję Fausta,
wystawię im rachunek
za wieczne mamienie młódkami,
za to bezczelne poszturchiwanie mnie w starość.

Obok

Brak kobiety jest dla mężczyzny tym,
czym dla kobiety jest brak sensu.

Kobieta nie ma poczucia sensu,
ale mężczyzna ma potrzebę kobiety.

Kobieta ma potrzebę miłości,
ale mężczyzna nie ma wycucia
kobięcych potrzeb.

Idą oboje przez życie,
wpadają w wybetonowany dół,
ale nie jedno za drugim jak u Bruegla,
raczej obok siebie,

tak jak żyją,

obok.

Mężczyzna potrafi

Mężczyzna najlepiej umie rzygać,

womitować sobą, z wnętrza wyrywać lapsusy
własnego życiorysu, wyrzucać sfermentowane alkohole kłęsk,

boi się patrzeć w przeszłość, tam mieszka bazyliszek,
zarost na twarzy mężczyzny sroży się lub siwieje,

kobieta myśli, że on na nią krzyczy, a on krzyczy na siebie,
on krzyczy na chłopca, który w nim trzasnął drzwiami i odszedł,
on krzyczy na ojca, który tak długo milczał, aż zniknął;

mężczyzna składa się z pięści i zagryzionych warg,

kiedy nie ma go całymi dniami i nie wraca na noc,
ucieka – od Itaki w morze;

zostaje po nim pół tubki kremu do golenia, zapalniczka,
zapach fahrenheity; mężczyzna płaci i wychodzi
za burtę, to potrafi najlepiej.

W ławicy

*właściwie ty już byłaś i ja byłem z tobą
i nasze rozmowy też już kiedyś były*

(Stefan Jurkowski)

Może nieważna jest twoja twarz, prawdziwy kolor włosów, gesty, którymi podpierasz słowa w zdaniu, grymas po moim niewybrednym żarcie, śmiech w czasie rozmowy, krzyk w czasie orgazmu, lot ponad ziemią, kiedy mówimy o sprawach wysokich.

Te subtelności, te drobiazgi, te straszne dylematy, nocne wahadłowce wahań, zaciskanie warg do białości, rwanie włosów, bicie głową w ścianę niezdecydowania, wznoszenie obaw do boga; ta zdwojona uwaga, żeby nie obiecać sobie zbyt wiele.

Przecież jesteśmy tylko punktem, wyimkiem ławicy, planktonem w wielkim akwarium ciemności, zaplątanym w sieci przypadku, w granat kosmosu, w grymas boga, który zapewne nie wierzy sam w siebie, widząc tę nedorzeczność ruchu i kierunku. Chaos,

z jakim poszukujemy ładu, jest zabawnym labiryntem wiary, żartem, uśmiechem stwórcy nad mrówką; może teraz leży on na Wielkiej Łące i źdźbłem trawy popycha mnie ku tobie, a kiedy będziesz obejmowała udami swój kolejny wszechświat, moje biodra,

on już dawno, w zupełnie innym miejscu, będzie tratował lub wypalał następne mrowisko, ale nie słuchaj tego, co teraz mówię, obejmuj mnie nadal, przyciągaj do siebie, wyj przeciw próżni, nie wierz w bezsens miłości.

Może to miłość wyjęła ciebie i mnie z ławicy, może ważna jest twoja twarz, prawdziwy kolor włosów, gesty, grymasy, śmiech i krzyk. Może nam, właśnie nam się uda być sobą i Osobą, chociaż jesteśmy już od tysięcy lat każdym i wszystkim, cząstką ławicy, kroplą morza, igłą igliwia, ziarnkiem pustyni, a teraz, właśnie teraz

rozpocznijemy nowy las, morze, pustynię. Siebie.

Chandra poezji

(wiersze autotematyczne)

Jak powstaje nowy wiersz

Kiedy Apollinaire powiedział,
że koło, chociaż nie przypomina nogi,
służy do tego samego,
zrozumieliśmy, że na płótnie życia
język może jak pędzel malować
obrazy.

Ale jak nazwać potem taki obraz;
narysować psa i podpisać – pies?

Nie, to niegodne poety,
poeta musi psa stworzyć na nowo
swoim własnym językiem,
otworzyć mu podwórko mowy,
spuścić z łańcucha dosłowności
(niech pobiega po polu semantycznym),
odtąd dotąd jest pies realny,
odtąd dotąd liryczny.

Pies liryczny może jeść niebieską trawę,
kochać się z kotem, czytać Hegla,
szczekać arie Wagnera i w komputerze odtwarzać
gwiazdne wojny;
pies realny jaki jest, każdy widzi.

Czy one mogą się spotkać? te psy?

Tak, w języku wszystko jest możliwe
jak na obrazach Dalego lub Chagalla;

w języku
człowiek może szczekać jak pies,
być bezdomny jak pies,
skomleć, podwijać ogon, wyć do księżyca,
psioczyć, warczeć, a nawet się łąsić.

Te niedosłowności poeta powinien nieustannie mieszać
w shakerze wyobraźni;
sztuka bierze się z obdukcji znaczeń
i przekraczania sensów,

po napisaniu wiersza,
dajmy na to o psie,
poeta podchodzi do lustra, wyciera farbę z rąk,
odkłada na bok paletę skojarzeń,
patrzy,
patrzy na siebie
i widzi nosorożca.

W tej właśnie chwili zaczyna powstawać nowy wiersz.

Wspinanie, upadek

(krótki szkic o życiu i twórczości Jerzego Górsańskiego)

Poezja

powstaje z samotności,
której się wstydzimy
albo której wciąż nie przyjmujemy
do wiadomości,
która jest ponad wszystkim,
choć na co dzień blaknie (na moment,
oczywiście, tylko na moment) w obliczu bylewszystkiego.

Dawniej

tej samotności mieliśmy
wiele do zawdzięczenia, mieliśmy
świadomość, że z niej zrobimy wiersz,
że bez niej trudno pisać;

dzisiaj cena wydaje się zbyt duża,
wciąż pytamy, czy było warto.

Całe to nasze życie

jest przechodzeniem
z amatorstwa na zawodowstwo,
z taternictwa na alpinizm
i tylko te zimne skały, te mrozy
coraz bardziej parzą.

Ze wspinaczki do wiersza

nie ma odwrotu,
poezja staje się coraz piękniejsza,
samotność staje się coraz bardziej ponaglająca;

w górze to samo, co i w dole – otchłań,
i jeśli śmiech nie znika z twarzy,
to tylko dlatego, że już naprawdę nie ma się z czego śmiać,
a płacz na tych wysokościach byłby
po prostu żartem, złym żartem,
może nawet – upadkiem.

Pochwała wiersza prawdziwego

Chciałbyś, żeby wiersz udźwignął twoje życie,
żeby umiał z żelazną logiką wyciągnąć wnioski,
dokonać obdukcji moralnego samopoczucia,
przyłożyć stetoskop do charczących płuc
stanu zapalnego,
który prześladowuje cię od wielu lat,
przyłapuje na każdym kroku zrobionym,
zaniechanym, zaplanowanym,
przechodzącym w bieg, ucieczkę,
rejteradę aż do utraty tchu,
aż do obsesji lustra, które każdej nocy tłuczesz
i każdego ranka odkrywasz na nowo, gdy wpatruje się
ze złośliwym uśmiechem w twoją twarz.

Tak,
wiersz mógłby być powiernikiem,
spowiednikiem, niańką,
kochaną kobietą, która powie: nic to,
kocham cię bez względu na wszystko;
wiersz mógłby być kompresem
albo jeszcze lepiej słownikiem,
z którego wyrzucono słowa zadające
ból, słowa budzące lęk,

ale taki wiersz ma zakneblowane usta,
bełkoce, a zwolniony z nakazu milczenia
rzyga.

Radość pisania

Słowo staje się zaczynem,
mnoży nowe komórki, rozrasta się,
z jego rdzenia wyskakują łańcuchy znaczeń,
spinacze skojarzeń, dźwięczne śrubki współbrzmień,
całe to żelastwo zaczyna dzwonić
jak taczka wieziona przez biedaka
do składnicy złomu,
ale poeta wie,
że gdy tylko podniesie się poranna mgła,
z kakofonii dźwięków wyłoni się
aleja w ogrodzie Tuileries albo w Łazienkach,
albo w Nieborowie,
na niej paw, wiewiórka, szyszka,
pożółkły listek miłorzębu albo gałązka tamaryszku,
dziewczyna w białej sukience schyla się po nią,
jej ręka jest pusta, podbiega wiewiórka,
która za chwilę poczuje zawód odtrącenia,
paw zaczyna się drzeć jak zarzynany świniak,
przez megafon dobiega dyskretny komunikat,
że za piętnaście minut zamykają się bramy Arkadii,
poeta zaczyna rozumieć, że napisał bolesny erotyk;
radość pisania pokrywa nagle rdza,
metaliczny smak wypełnia usta,
dzwoni taczka żalosego złomu:
czy było warto?

Poeta myśli, że nie. I nazajutrz
odda się znowu radości pisania.

Obrona utopii

Nie schodź we mnie,
tam są pokłady słów niewypowiedzianych,
mogły się wyrwać na ganek ust i wzlecieć skowronkami
prosto w niebo twojego serca,
ale przeleły się,

wolały zastygnąć w czarnym kamieniu,
jak odbicie gałązki sprzed tysięcy lat
lub nóżka praptaszka
albo owad z epoki jurajskiej.

Trwać
w głębokim szybie milczenia,
w wysokim stężeniu nieziszczalności.

Słowa niewypowiedziane są piękne jak
klucz dzikich gęsi lecących przez przestworza nadziei,
ich klangor opowiada radość lotu;

słowa wypowiedziane mogą być
ustrzelone w locie i jak martwy ptak
zaniezione przez wyżła do stóp myśliwego.

Kiedy Dürer malował skrzydło kraski,
opowiadał o pięknie wyrwanym z całości,

kiedy ja zamykam usta,
opowiadam o bezpiecznej całości,

cóż z tego, że utopii.

Poezja i krytyka

Na brooklińskim moście
siedział niewidomy żebrak,
pewnego dnia ktoś podszedł
i tabliczkę z napisem: *jestem ślepy od urodzenia*
zamienił mu na inną:
przyjdzie wiosna, a ja jej nie zobaczę.

Według francuskiego krytyka, Rogera Caillois,
na tym właśnie polega poezja.

Dodam od siebie,
że musi być spełniony
podstawowy warunek:
tzn. niezachwiana wiara w wiosnę.

Uprawianie krytyki to już drobiazg;
Brooklyn powinien kojarzyć się z Avignonem,
ślepiec – z Brueglem,
wiosna – z Dionizosem,
a podstawowym warunkiem w tym przypadku
jest wizja lokalna na moście.

Luiza

Maćkowi Chrzanowskiemu

Śnił mi się Bursa.
Wyszedł z grobu, otrzepał marynarke,
wyjął z kieszeni fiński nóż
i zaczęliśmy grać w pikuty.

Nagle poczułem na plecach
czyjś wścibski wzrok,
odwróciłem się...
tak, to była ona,
Luiza,
stała nieopodal
i życzliwie się uśmiechała.

– Nie przejmuj się – powiedział Andrzej –
ona nas nie widzi,
ona w ogóle nie istnieje,
to tylko ten cholerny wiersz
tak mi się udał.

No więc graliśmy dalej.

Luiza w tym czasie
zmieniła wodę w wazonach, posprzątała dokoła,
zapaliła znicze.
– Widzisz – chełpił się Bursa –
dobry wiersz to czysty pożytek.

Obudziłem się
i jako krytyk mogę to potwierdzić.

Poeta ucieka

Poeta ucieka.
Śmierć chce zagadać miłością,
rozpacz – entuzjazmem, brzydotę – pięknem;
cieszy się jak dziecko, że żyje.
Dlatego ludzie o trzeźwych poglądach
nie słuchają poetów,
wiedzą, że świat jest, jaki jest,
realny, a nie wyobrażony,
trzeba żyć, a nie przeżywać,
trzymać się mocno poręczy.
Świat poetów to świat bez poręki,
Świat ludzi – za trudny dla poetów.

Życiopisanie

nad grobem Edwarda Stachury

Przychodzą tu młode poetki, starzy poeci,
adoratorzy bohemy, absyntu, jabola,
wyznawcy drogi, tragarze plecaka, powsinogi, ćpuny,
abnegaci zapatrzeni w sens bezsensu, pełnię pustki,
gwiezdny pył przyziemia i błękitnawy smog duszy;

szukają tu swojego Graala, czakramu, vilcacory,
brodzą po kolana w wysokim perzu i nawłoci,
szukają wyjścia, odpowiedzi, wskazówki,
pytają: jak żyć?

Podnoszą dłoń pod światło,
widzą pięć palców, niepokoją się,
że za dużo.

A on uśmiecha się w głębi
i nie wypisuje recepty.

Życiopisanie kroi się na miarę, wrywa się z siebie
jak wbitą pazurami hydrę, wysysa jak truciznę z rany;

trzeba bardzo wierzyć, by znaleźć drogę wprost,
ponad, wbrew, obok,
czasami trzeba sypiać w przydrożnym rowie,
aby zejść drodze z oczu, trzeba iść przeciw sobie,
spadać ze złotych gór sukcesu w mroczne bagno losu,
łzy ocierać o skrawek nocy, zaciskać zęby
i wyciągać pięść przeciw sobie.

Trzeba umieć stchórzyć i stworzyć z tego czyn,
uciec i stworzyć z tego grób,
zamilknąć i wyrazić to
krzykiem wiersza.

Trzeba umieć tak odejść,
aby wiecznie być.

Idź przodem

Mirosławowi Nahaczowi

Podaj mi rękę, młody pisarzu,
zaprowadzę cię na próg Ziemi
(pamiętasz, kim był Wergili dla Danta?).

Zapłacisz mi opowieścią o kręgu,
do którego dotarłeś przede mną
(ale czy stamtąd dochodzą słowa?).

Przyślij koniecznie list, czy tam mnie brakuje,
czy tam się na coś przydam?
(posłowania – na nie może być wielkie
zapotrzebowanie).

Postaraj się dowiedzieć,
czy był sens?
(świat przedstawiony w świetle
puenty),

czy warto było pisać, czytać, kochać,
tracić zmysły, rozpaczać?
(ironia i groteska – ach, jak często
o nich zapominamy),

czy śmierć jest namiętną kochanką,
czy Bóg przychodzi na każde zawołanie?
(*lupus in fabula*).

Napisz koniecznie;
chcę wiedzieć, żeby wytrzymać do ostatniego
zdania;

teraz uważaj: puszczam twoją rękę,
żaden Wergili nie ma tu już nic do powiedzenia,
teraz ty idź przodem.

Dnia 25 lipca 2007 roku zmarł Mirosław Nahacz.

U Starego Poety

Najpierw aleja. Tędy się pojawił i tędy odszedł.
Po bokach stare, chore drzewa i chaszczce
nie przeczesane ręką ogrodnika od lat.
Porastają to miejsce. I pochłoną je w końcu
niczym tropikalna dżungla.

Wnętrze. Nie tknięte ręką czasu. Na ścianach
obrazy, trofea, poroża. Zdjęcia. Dziesiątki zdjęć.
Rodzice, siostry, dwór na Ukrainie, kuzyn Karol, żona Anna,
Artur R., córki, przyjaciele... Na rycinie Zaruby koledzy
z Ziemiańskiej i Wiadomości. Sztych Leonor Fini,
olej Witkacego, scenka Simmlera, obrazy, obrazy, obrazy...
Na biurku noże do papieru, pojemnik na pióra
zrobiony z raciczki dzika, bibeloty, nie zamknięte książki.
Kufel z 1918 roku. W pokoju zwanym „umieralnią”
wszystko sterylne i bez wyrazu – jakby się nigdy nic nie stało;
mapa pogody gdzieś tu zawisa na zawsze. Bez chmur.

Od strony werandy bordowieje wino. Pełzają bluszcze.
Jesień robi, co może, by ozłocić to miejsce. Ale jest zimno.
Chłód, wszędzie wdziera się chłód. Chaszczce. Wszędzie
wdzierają się chaszczce. Przysiadam na ławeczce i jakbym
słyszał za sobą Jego rozmowę z psem. Kilka kroków i trzask
łamanych gałązek – na pewno pogoń za rzuconym patykiem.
Nie muszę się odwracać – widzę Jego potężną postać;
stąd te ramiona rzucają cień na wszystko.

Stronami deszcze, stronami pogoda,
A tu życie przykrywa śmierci czarna woda.

Stawisko, 7 października 2007 r.

Ten wiersz
doglądał kiedyś w ogrodach poezji
rosłe klony idei
i przycupnięte bonsai metafor,
stawał dęba na widok rozchylonej róży
i płożył się przed każdą konwalia,
był pełen wigoru,
pewny siebie,
zadziorny;

teraz ten wiersz cierpi
na przewlekłe milczenie,
zaciska do białości usta,

krwawi,

musi krwawić.

Poeta, który ugryzie się w język
wiersza,
podcina żyły słów.

Wiersz powinien być ascetyczny,
powinien mieć widoczne ślady anoreksji,
żebra na wierzchu,
wystające obojczyki,
i duże głodne oczy.

Powinien łakomie patrzeć na każdy kąsek życia,
z napięciem śledzić rękę
niosącą do ust jabłko
lub sięgającą
po sznur.

Wtedy niech tylko nie krzyczy,
niech się zamknie,
niech w ostatnim błysku zrozumie,
że to także przez niego;

trzeba było zagryzać wargi,
a nie bez przerwy
podżegać gorączkę słów.

Wiersz jest jak sroka,
która wiecznie skrzeczy;

pióra bym mu z dupy powyrywał,
ale on nie da się złapać,
on nigdy nie dał mi się nawet
zbliżyć do siebie.

Mroczny wiersz

Jakaż dzisiaj pustka.

Usiadłem przed chwilą nad własnym,
stromym brzegiem,
nogi opuściłem w dół (niech sobie podyndają)
i zacząłem łowić wiersz.

Czas płynie, wiersz nie bierze,
pustka się mizdrzy.

W zupełnie wisielczym nastroju
(nogi sobie dyndają) łowię ten wiersz na siłę
(co widać), ale on nie,
on się nie daje.

Jak piskorz.

Porzucam sobie kamykami,
plum, plum,
boli,
jest odgłos,
ale jakiś głuchy,
pusty;

przez tę pustkę
toczy się kamyk,
ból, odgłos,
wiersz się nie pisze,

a teraz już nawet pustka się
nie mizdrzy.

Oglądam własne dno,
ale tam trudno coś dostrzec,
tam nie ma światła,

dlatego ten wiersz
jest mroczny
i nie widzi, że czekam
na powierzchni siebie.

Milczenie poety

Ból niepisania
pojawił się we wtorek nad ranem,
przeszył łokieć w prawej ręce,
nadgarstek, palce
i powędrował dalej.

Długo okupował gardło,
zasadził się na słowa.

W planetarium czaszki
wywołał wojnę światów,
w bitwie pod Gwiazdą Piolun
zabił Martina Edena,
Emily Dickinson,
i Rafała Wojaczka.

Dlatego od lat
działam w podziemiu dnia,
piszę w drugim obiegu jaźni,
ukrywam się przed krytyką,
stosuję techniki anonimowe;

mój ból niepisania
wciąż dyktuje mi nowe wiersze,
najczęściej jest to słowotok,
którym płynie
wieloletnie milczenie.

Dziki wiersz

Wiersz się we mnie tłucze
jak dzikie zwierzę w klatce,
biega z kąta w kąt,
warczy,
nocami wyje do księżycy jak wilk,
kiedy podchodzisz, zaczyna się łaścić,
w jego oczach pojawia się głód twojej dłoni,
te oczy proszą.

Ale nie głaszcz.

To wściekły wiersz,
może zniecka ukąsić,
bywa nieobliczalny,
szczyrzy kły, nawet
gdy udaje erotyk.

Tak go wyćwiczyłem,
bo wiersz nie może być poslušny,
przymilny,
nie może wystawiać podbrzusza na żebry
twojej ciepłej dłoni, skomleć, zaprzyjaźniać się,

jego rolą jest być zranionym, nieufnym zwierzęciem
i trzymać cię na dystans,
nie pozwolić się zbliżyć.

Gdyby ci się to udało,
wiersz może przestać boleć,
straci węch, ogłuchnie,
przyśnie –

żaden z niego pożytek.

Wiersz nienapisany

Wiersz
czeka na napisanie,
wierci się, kopie, przebiera
w słowach jak w ulegałkach,
w lustrze kartki przymierza
krawaty (wiersz męski),
korale (wiersz damski),
z przodu,
profilem,
robi miny,
bierze wysokie C na próbę
i jeszcze raz, i jeszcze raz,
robi kilka przysiadów, pompek,
zbliża twarz do lustra,
macha ręką,
i rezygnuje.

Dzwoni do koleżanki (wiersz damski),
pije wódkę (wiersz męski).

Wypiek

Poeta miesza ciasto wiersza,
dodaje drożdży, rodzynek, olejku migdałowego,
pomarańczowej skórki,
z puchu mąki wyrasta
piękna baba;
poeta dostaje wypieków na policzkach,
przypomina sobie mit o Pigmalionie,
szybko pożera babę wiersza,
rumieniec wstydu zdradza,
że to było pierwszy raz,
sam na sam z wierszem
ugniatany
jak sen
o
jej
nagości.

Nocne pisanie

Ona już śpi, jest syta,
będzie trawiła swoją wszędobylskość,
kolejny dzień dopełnił się
zmęczeniem.

On z jazgotu zdarzeń
wieczorem budzi się w próżni,
przegląda chwilę po chwili
i wyciąga pustą sieć.

Patrzy na jej spokojny sen
i srebrną rybę klęski
przelewa z niczego
na papier.

Ćmiący atak wiersza

Bolisz mnie
słowami, które
nie przychodzą ci na myśl.

Bolisz mnie
ręką, która
ani drgnie.

Bolisz mnie
ciałem, przed którym ukrywasz,
że się znamy.

Bolisz mnie
wierszami, z których dowiaduję się
ciebie.

Ćmiący szelest liter, obrazki głosek,
ćmy z trupią główką miłości...

Zlituj się
i już więcej mnie nie ból.

Złodowacenie wiersza

Po śniegach bezdotyku
wspinam się na białą górę wiersza.

Palce bez dotyku krwawią,
zostawiam za sobą ślady.

Ale jeszcze bardziej rani milczenie;
język stwarza tekst,
palce go tylko czytają.

Kiedy znikasz pod powierzchnią ciszy,
góra wiersza spada mi na piersi jak głaz,
brak słów dusi, w uszach pękają bębrenki,
od bębnienia tej ciszy palce zbiegają się
na plac twojego ciała, gdzie panuje zakaz
otwierania ust.

Brak krwiobiegu słów
czyni wiersz bladym;

blady wiersz na białej górze
zmienia się w jezior lodu –

zastyga.

Memento wiersza

Oto jest moja głowa, a to nóż.
Weź ten nóż i odetnij tę głowę.

Oto są moje usta, a to igła i nić.
Weź je, zaszyj te usta.

Oto jest moja szyja, a to sznur.
Weź ten sznur. Zadzierzgnij.

Oto jest moja ręka, a to topór.
Weź ten topór, tnij.

Oto jest ten wiersz, a to ty.
Weź ten wiersz do serca,
zanim to wszystko zrobisz.

Płomiennosc

Ten wiersz piszę palcem na twoim pośladku,
dłonią w twoich włosach,
językiem na plecach,
oddechem na udach,
rzęszą na stoku piersi,
ustami na pergaminie brzucha,
policzkiem o policzek,
płomieniem na białej kartce
twojej skóry –

niech i ona płonie,
niech skwierczy w tym ogniu,
zwija się w wiórki rozkoszy,
niech jej spopielone bibułki wzbijają się w powietrze
i jak latawce fruwią nad naszym snem
aż do rana.

Dotyk jest miłością,
miłość jest ogniem,
ogień jest językiem,
tego wiersza.

Szklany poeta

Poeta
powinien mieć
szalik, skrzydła
i być ze szkła,

przezroczysty,

ażeby Bóg
widział w nim
na przestrzał
innych ludzi

i żeby
mógł ich
w porywie sprawiedliwości
stłuc

na kwaśne jabłko,

a poetę
na paciorki
odmawiane
w wierszach.

Muza sypia ze Szklanym Poetą,
każdy jej ruch, uciekanie przez sen,
podrywanie głowy z poduszki,
przyprawia Poetę o zapaść serca,
jego skrzydła pokrywają się bąbelkami powietrza
w których zamierają krople zimnego strachu.

Prawdziwy Poeta, z ciała, krwi i kości,
nie sypia z Muzą,
jest daleko, jego istnienie wydaje się na niby,
jednak każda noc bez Muzy
przyprawia go o zapaść serca,
jego ciało pokrywa się kroplami słonego bólu,
usta z trudem łapią powietrze.

Muza w tym czasie
kocha się z Jackiem p., Łukaszem j., Jasiem k.
i w pociągu relacji Kraków – Wrocław
tęskni za dotykiem poezji.

Kraków, Jama Michalika, 14 listopada 2006 r.

Wilki Rafała Borcza

Siedzę nad białą kartką,
chcę opisać miłość,

ale biała kartka jest
jak białe małżeństwo –
inne sprawy jej w głowie.

Mój opis nie umie się wysłowić;
w miejscu na miłość pustka,

w pustce nawet brak echa,
a jeśli już,
to skowyt wilków
Rafała Borcza*,
których też nie ma,
bo są błękitne
i zjadają same siebie,
bo nie znają miłości.

* *Rafał Borcz – krakowski malarz, m.in. autor cyklu obrazów z „błękitnymi” wilkami...*

Plama wiersza

Jestem kartką,
białą kartką wiersza,
wiersza, który się nie poddaje,
który walczy.

To on dostarcza ci
polecone listy skarg, telegramy krzyku,
małe metafory złudzeń i wielkie parabole wizji.
On szamoce się z tobą, przeskakuje twoje
góry, pokonuje depresje; dopada cię w niszy dnia
i przypiera do ściany. To jego oddech
czujesz stale na swojej szyi, to on przebiega
po twoich plecach dreszczem. Gdyby nie ten wiersz,
nie wiedziałabyś, że w życiu najważniejszy jest
dotyk słowa, kaskada zdania, eksplozja mowy.
Tak, to przez ten wiersz na moich bandażach
widzisz ślady atramentu. Moją krew.
Plamię nią księgę zapisaną wszystkimi
sensami miłości.

A ty?
A ty w tym wierszu jesteś stroną.

Wiersz po dwóch butelkach piwa

Ten wiersz chciałby być erotykiem,
przymiła się, strzela oczami, stoi pod balkonem,
trzyma w palcach różę, czerwieni się,
za chwilę zacznie szeptać czule słówka,
odwróci się i dyskretnie połknie tabletkę
viagry

(na wszelki wypadek).

Najchętniej ubrałby się we frak sonetu
skrojony na miarę, trzymający fason,
elegancki i dystyngowany,

ale nie,
tu potrzeba odrobiny szaleństwa, roztargnienia,
nerwowego obgryzania paznokci, bicia głową w mur,
rwania włosów, wspinania się na szklaną górę
obojętności, zabicia smoka, wzgardy, zatrzymania
rozpędzonej lokomotywy bezsensu.

Dżins potocznej mowy, drelich prostoty
byłyby lepszą formułą niż wyfraczony sonet;
tak, ten wiersz odkapsluje zębami butelkę piwa
i wypije ją duszkiem, po czym zaraz sięgnie
po drugą

(na wszelki wypadek).

Potem zaśnie u twoich nóg
wymięty i wstrząsany czkawką
milczenia.

Świtezianki

Siedzę nad białą kartką papieru
i widzę czarne jezioro włosów,
woda szeleści i podpływa pod moje pióro,
włosy falują,
oplatają mnie
i unoszą w toń
Świtezii.

Małgorzato,
Marylo,
Ludwiko,
wypijcie ze mnie całą krew wiersza,
zarzućcie sieci na ławicę moich słów,
migoczącą w blasku księżyca,
a potem splątajcie mnie wodorostami,
abym już nigdy nie wypłynął
na powierzchnię
języka.

W tym śnie
chcę was brać po kolei,
Ofelie mojej klawiatury,
dziwki liryczne,
otwarte na każde stuknięcie palca,
łase na każdą kropelkę
kawy,
w której pływają plemniki
natchnienia.

Młodzi poeci

Młodzi poeci po raz pierwszy w dziejach ludzkości
podnoszą kurtynę świata,

drażni ich zadęcie Adama,
ględzenie Jula,
egzaltacja Tetmajera,
śmieszny ich Jasnorzewska,
nie znają Lilki Kossakówny,
nie wiedzą, kto to Liebert,

atakują Hłakowiczównę
(ta niewidoma poetka nie ma szansy przejść
na drugą stronę ulicy,
klaksony młodych poetów
ochlapują ją błotem).

Urodzili się w roku 1973 lub 1985,
by pomścić socrealizm –
tak jak nauczył ich Woroszyński.

Na słowo „Westerplatte” odbezpieczają rewolwer,
na słowo „lustracja” siadają za biurkiem
Broniewskiego.

Ich poezja wybawi Polskę,
ich prawda zbawi Polaków,
ich język zdemaskuje nowomowę.

Młodzi poeci nie przyznają się do patriotyzmu,
wołają jeść *kał Indianina* i konstatować *flupy z pizdy*
niż ocalać ludzi i narody;

młodzi poeci szybko się starzeją,
depczą im po piętach następni młodzi poeci,
którzy od nowa podniosą kurtynę świata
i ogłoszą narodziny prawdy
oraz nowy słownik ortografii
i poprawnej polszczyzny.

Chandra losu

(słodczy tyle, co nic)

Trzcina

Fermentują we mnie wszystkie cukry świata,
jego nadobność, piękno i dobro, zachwyty i splendory,
uroda życia.

Cała nadzieje spala się na gorzki karmel.

Tak musi być –

trzcina Pascala nie jest trzcina cukrową,

słodczy w niej tyle

co nic.

Czeski błąd

Chodziłem po Pradze z Andrzejem Piotrowskim,
pokazywał mi piwiarnie, metro, most Vaclava,
byliśmy pod Złatym Tigrem i w wielu innych
miejscach kultowych,
dreptaliśmy tam dopóty,
dopóki wydreptało się we mnie
to czułe miejsce.

W tym miejscu do dzisiaj zdarzają się trzęsienia ziemi,
śni mi się na przykład, że jestem Józefem K.

albo że pod synagogą przywołuje mnie skinieniem głowy

[Golem

i przekazuje wielkie słowo *emet*, słowo Prawdy,

albo dzwoni Jan Pilař i znowu układamy antologię *Hledam tedy*

[*jsem**,

a piękna redaktorka, Eva Pavkova, staje przede mną naga

i zamienia się w Kwiecieńkę,

koty Hrabala ocierają się nam o łydki,

Jarmila z poematu Machy powstaje z mar

i wtedy,

wtedy właśnie w zupełnie niestosownym miejscu,

tym czułym miejscu,

Jaromír Nohavica śpiewa

o *divkach v satech z krepdesinu*.

Słyszę jeszcze romancę graną na trąbce Otokara Vavry,

i strzały na Václavském Náměstí,

czuję, jak krew kapie mi z przestrzelonej dłoni,

iskra z Jana Palacha,

łza z oka,

* *Antologia ta, zawierająca wiersze młodych polskich poetów, wyszła, przy mojej współpracy w 1987 roku w Pradze, nakładem wydawnictwa Mlada Fronta.*

choć tyle czasu minęło,
choć przegapiłem to wszystko
jak czeski błąd
w rachunkach.

Nawet się nie śni filozofom

Prywatny początek świata? –
no tak, tego jeszcze nie było.

Ludzkość wielokrotnie ćwiczyła
prywatne końce świata,
statystowała w próbach generalnych,
nagraniach filmowych,
pozowała do zdjęć,
ginęła na planie,

a świat przewracał się na drugi bok
i istniał dalej,
jakby nic się nie stało.

I znów Mefisto
przechadzał się jak dawniej ulicami,
tu się uklonił, tam pozdrowił,
miał w dupie nawet IPN.

A niby na czym ma polegać
nowy początek świata?
prywatny początek świata?
IV Rzeczpospolita?

Tak, to by się zgadzało,
to by się nawet nie przyśniło w piekle...

Wiersz agnostyczny

Kiedy wielka korweta obłoków
weźmie cię na pokład
i popłyniecie Morzem Pionowym w górę,
nic już nie wróci do dawnego poziomu.
Nie staraj się tego rozumieć,
tu nie ma nic do rozumienia,
Wielki Geometra przestawił do góry nogami pudełko,
w którym wszystko było na swoim miejscu
i tylko prawda zataczała się od ściany do ściany
jak pijany marynarz
zdezorientowany fatamorganą portu.

Wiersz optymistyczny

Optymiści mają rację: wieczność istnieje!
Jej największym dowodem są nicość i nieistnienie,
które nie mają początku ani końca,
trwają bezwarunkowo i stabilnie,
po prostu gdy są, to są.
Pesymiści zamartwiają się kruchością istnienia,
kresem, czarną czeluścią nicości.

Niepotrzebnie!

Pustka wypełniona przez Nic
przestaje być pustką,
a nawet stwarza pole do popisu
wszystkim, którzy mają choć odrobinę
życiowej inwencji.

Bezdotyk

Póki istnieje ściana – możliwy jest płacz.

Póki zmierzch smuci – cieszy poranek.

Póki przeraża pustynia – śniesz oazę.

Najgorszy – brak alternatywy lub chore symbole:

ściana – milczenie, poranek – rozpacz, pustynia – śmierć,

tak, najgorszy jest dotyk nicości

i słowa opuszczone przez desygmaty.

Kult czułego szczegółu

Drobiazgi,
one są ważniejsze od spraw
międzynarodowych,
fundamentalnych,
globalnych.

*Bywasz od Boga nagrodzony rzeczą mniej wielką,
listkiem do szyby przyklejonym, deszczu kropelką.*

Gest, którym ona odgarnia włosy znad czoła, zdjęcie,
które wypada z książki po siedemnastu latach, na nim
wchodzicie do morza, woda już po kolana, brzoza pochylona,
na której kochaliście się zapamiętali zupełnie niedawno,
witryna sklepiku osiedlowego, gdzie ongiś trafiłeś
w totolotka czwórkę, boazeria przy twoim łóżeczku w dziecięcym
[pokoju,
w którą wtulałaś nos będąc małą dziewczynką, ścieżka
do źródła w Krościenku, przydrożna, wiejska kapliczka,
ten, właśnie ten stolik u Michalika, pieprzyk na jej prawym
[pośladku,
o którym nawet ona nie wie, widok na Wielką Raczę, platan
na strzeleckim placu, blizna, garść włoskich lirów w tekturowym
[pudełeczku,
pióro, które dostałeś od przyjaciela trzydzieści lat temu,
tamto drzewo w parku... o nim cicho-sza, to twoja wielka
[tajemnica,

ostatni list od ojca...

...tamten wiersz,
nad którym zawsze płaczesz...

życie się składa z drobiazgów,
życie się składa jak scyzoryk,
kiedy je zaniedbujesz,

e drobiazgi,
małe rzeczy, wielkie sprawy,
całe twoje życie...

Widok z mojego okna

Ogród, wysoki, rozłożysty świerk, krzew pigwowca,
kępa irysów, irgi, po prawej szpaler tui, wysoki miskant,
który jesienią zaciąga się sepią, dalej ulica,
którą bardziej słyszać niż widać.

Po lewej widok z okna ograniczony,
wszystko zasłonięte, ale mogę z pamięci
wymienić szczegóły: jest tam na przykład
stara czereśnia, pod którą stół biesiadny.

Ogród jest najpiękniejszy, kiedy zamykam oczy,
wtedy ty ścielisz się w trawach, zieleniejesz w świerku,
unosisz się ponad kwiatami (prawo Chagalla),
wołasz mnie gestem ręki, skrzydłem synogarlicy,

frunę i zderzam się z ziemią (prawo grawitacji),
okno się zatrzaskuje, przecina mnie na pół, krew wsiąka
w czerwone cynie, ciemnieje w czereśniach, kapie
na parapet, także na tę kartkę, dlatego
widok z mojego okna jest taki

zraniony.

Tęcza

Wszystko zależy od tego, gdzie ukaże się tęcza,
jeśli jak pawie ogony rozcapierzy się na niebie
w łuk triumfalny,
można dojrzeć tam, w głębi, wzywający palec Boga;
wtedy idź,
idź ku tej bramie Szawłem,
przejdź na jej drugą stronę Pawłem,
otrzymałeś szansę,
nie zmarnuj jej.

Ale odbicie tęczy w ziemi
przestaje być tęczą.
Tu nad boskim lazurem dominuje
dantejska czerń wymieszana z cynobrem Boscha,
tęcza odwraca się do góry nogami,
jej półkoliste dno jest grobem,
w który spadniesz jak Judasz
odcięty ze sznura.

Ufaj w Mit,
w nim nie ma albo dobra, albo zła,
w nim jest tęcza,
spłciony warkocz komety,
smuga wszechsensu.

Starzy mężczyźni

Starzy mężczyźni wysiadują na podwórkowych ławkach
lub przed gabinetami lekarzy,
rozmawiają o lumbago, prostacie, nadciśnieniu
i reumatyzmie – ich oprawcach,
jakby nie pamiętali tamtych, w mundurach,
z kaburami u pasa;
ale dawniej zawsze było lepiej,
jutro zawsze będzie gorzej.

Chodzą po parkach,
nie mogą schylić się do nadbiegającej wiewiórki,
bo a nuż strzeli coś w krzyżu,
ale ryzykują, widząc na ulicy dwa złote,
zupełnie jak w 1944, kiedy trzeba było odrzucić
na drugą stronę Hożej niemiecki granat.

Do wiewiórki wołają: basia, basia,
i kuśtykają dalej.

Przysiądą, przysną,
pod powiekami przetoczy się po raz setny ich życie,
koledzy z wojska, koledzy z pracy, koledzy z działki,
ojciec wychodzący w pole, matka przyszywająca guzik,
starszy brat w trumnie ubiegłej jesieni...

Czasami porazi ich jaskrawe ukłucie dnia,

otwierają oczy, widzą 18-letnią sarenkę z szyją jak wieża Eiffela,
z nogami jak szyja żyrafy i pasemkiem nagiej skóry kołyszącym się
między piekłem spódniczki a niebem bluzki,

wołają za nią: gosia, gosia,
ale tylko w myślach,
i natychmiast przysypiają z powrotem,
aby uciec od tych omamów.

Basia, Gosia, wszystko im się myli
jak siostry bliźniaczki,
wszystko im jedno:

co piękne, to ze snu.

Echo

Jestem tykwa,
postukaj we mnie łokciem palca.

Z tykwy nie wydobywa się śmiech,
płacz, jęk, warczenie, zachwyt;
wydobywa się pustka,
jakby piszczelą uderzyć o piszczel
lub wynieść ten dźwięk w uszach po koncercie
Buena Vista Social Club.

Suchość.
Ale skąd bierze się suchość?

Suchość bierze się z wyparowania,
w dyni ciała powstaje próżnia,
wszystko ulatuje jak dym,
na zimnym palenisku zostaje
tykwa.

Teraz można ją kopnąć
lub przepołowić tasakiem.

Z jej otwartego wnętrza
nie wydobędzie się głos,
tylko samo echo.

Siostry niemiłosierdzia

Moja Euforio,
przyśpieszony oddechu, ręko drżąca,
wyglądająca pod światło jak głowa czujnego jastrzębia,
błysku w oczach, gorączko, przyśpieszony kroku,
słowotoku, nerwowy śmiechu, wypieku na policzkach,
podniesiony głosie, wiaro, uporze, nadziejo.

Moja Apatio,
zimny pocie na czole, zaciśnięta wargi,
powieki zmrużona przed słońcem, spowolniony
pulsie, grymasie zniechęcenia, odwrócona głowo,
tępy wzroku wbity godzinami w dal za szybą,
skurczu gardła, bezgłosie, bezruchu.

Moja Delirio,
odlotowa wariatko, kakofonio głosów i cieni,
hero dożylna, mowo od rzeczy, niedorzeczna
kochanko, wspinaczko nadziemna, drżączko,
halucynacja, pulsie skroni, bełkocie, padaczko,
biała dłoni, śmiertelna wilczyco z odsłoniętymi kłami...

Kocham was, moje trzy siostry
przędki dnia, eurydyki Hadesu,
ewy z zębami wbitymi
w moje jabłko adama.

Tafla snu

Są we mnie wysokie góry,
tam – jezioro, w którego zwierciadle
odbijają się wszystkie baśnie losu.

Pewnej nocy z twoich włosów
poderwał się czarny kruk,
zatoczył nade mną trzy koła
i spadł do jeziora. Utonął.

Teraz co noc trzepocą we mnie jego skrzydła,
rozrywają płuca. Kruk wydziobuje mi oczy,
które na zawsze wypełnia jaskrawa ciemność.
Pazury wbija w mój sen, wydobywa z niego
koszmary i upiory; z dna podnosi się muł,
robactwo wypełza z wodorostów gardła;
stają się padliną.

Ty przychodzisz dopiero nad ranem; na powrót
wplatasz kruka we włosy, odsłaniasz swoje łąki
pełne krokusów, rzeską kaskadą chłodziś
rozgorączkowane czoło; twoja dłoń
zdejmuje z moich ust krzyk.

Razem schodzimy z gór w nizinę
spokojnego dnia. Tafla snu zamyka się nade mną,
ale blizna po niej odkłada się codziennie
nową zmarszczką. I coś tak strasznie kracze,
tak kracze, gdy tylko kładę dłoń
na twojej dłoni.

Świerszcz

Schodzę z gór,
głowę wyjmuję ostrożnie z obłoków, niosę jak na ścięcie,
z oczu wypłukuję farbę błękitu (tylko dlatego są wilgotne),
z dłoni strzepuję impresje zieleni,

czym niżej, tym ciemniej,
i cisza,
cisza, która rani.

Zastraszający brak skowronków.

Na samym dole wykroty, chaszczę, wilcze doły,
ściany wąwozu coraz wyższe,
ziemia już chyba jest nade mną,
wszystko staje się przeraźliwie płaskie,
tak płaskie, że pozbawione horyzontu.

Schodzę z gór na wieczny odpoczynek.

Odprowadza mnie świerszcz,
na czarnym tle jego seledyn brzmi
jak ostatnie kuszenie Jezusa,

ale on może być z innego mitu.

Może to przepoczwarzony Charon,
który chityną skrzydełek wiosłuje zmarłym
lub egipski bóg Anubis, który prowadzi ich dusze na sąd,
albo aztecki Coatlicue, potwór ziemny
pożerający wszystko, co żyje.

Możesz to być ty;
świerszcz jest w tobie,
zawsze go słyszałem,
gdy wsuwałem ci palce we włosy;

w futerale jego skrzypiec byłoby mi dobrze,
jak ułał, i ty gdzieś w zasięgu skojarzeń,
choć stamtąd już nie można iść w góry,
nie można się wspinać.

Droga

Nie ma innego kierunku,
tylko ten jeden – spadanie.

Nawet spadanie
to krok wyżej, krok dalej.

Na samym dnie kumuluje się
wspinaczka upadku.

I już za moment
przetocysz się
na drugą stronę
bytu,

ale właśnie spadanie,
spadanie to jest praca,
którą musisz wykonać,
aby dojść do gwiazd.

Spadanie to jest
ruch ogromniejący,
podczas którego
– kawałek po kawałku –
wyzbywasz się ciężaru,
pozyskujesz astralność.

Tylko pamiętaj:
noś przy sobie chusteczkę,
ocieraj z rąk i policzków gwiazdny pył,
nie dopuść, aby radość spadania
stała się rozpaczą.

Monolog do lustra

Markowi Koterskiemu za jego film

Nie ma korony, nie ma berła,
jabłko w dłoni zmienia się w szpitalną nerkę,
atakuję jesień, pod stopami szeleści samotność,
jakbyś szedł po ścinkach białych kartek,
które kiedyś zapełniałeś wierszami.

Każdy dzień wydłubuje ci oczy sztyłem nonsensu.
Każdy dzień kończy się ciemnością; musisz pamiętać,
że życie to sen świra śniony nieprzytomnie, i ten hałas,
ten wieczny hałas, którym przesywają nas ludzie, miasta,
maszyny, osiedla, domy, podwórza, biura...

Zamknij wreszcie oczy, zatkać uszy,
wyrzygaj to wszystko z siebie,
wyrwij zwoje mózgu, wytrząśnij z nich
wszelkie złudzenie, przestań w końcu wierzyć,
że pośród ogrodu siedzi ta królewska para,
bo tam siedzi tylko mokra od strachu
mysz twojej klęski.

Nad wodą wielką, nieczystą

Mogę tak siedzieć na skraju samego siebie
godzinami i patrzeć w wodę
skamieniały, że nikt mnie stąd nie ruszy.

Ta woda zresztą jest złudzeniem –
to raczej pustka.

Pozioma linia kardiogramu,
głuchy bęben tętna,
echo z dna;

żyłka wyrwana z nogi,
haczyk wyrwany z życiorysu...

... łowię,

a potem noga za nogą wracam do siebie,
niosę koszyk płotek, małego piskorza,
śmierzące mułem muszle kłęski,

będę rozrywał je nożem,
aż z głośnym młaśnięciem
otworzy się ich surowe wnętrze

jak małża kobiety.

Kiedy nadpłynie gorąca fala,
trzeba zachować zimną krew,
zatrzasnąć się,
znowu usiąść na skraju
i udawać rzeźbę.

Drzewo życia

Opada ze mnie zieleń,
chłód ciągnie od nóg, od nocy,
korona traci liście, odsłania się nagi pień.

Nagi pień całymi latami pozostaje niewidoczny,
najczęściej w ogóle go nie ma,
nie zawiązuje się, nie wyłania
albo udaje zwykły słupek
obwieszony karteluszkami życia.

Nagi pień wyrasta wyłącznie z cierpienia,
musi znosić tropikalne upały i syberyjskie mrozy,
stać na jednej nodze, mdlejąc od cierpkich godzin,
wytrzymać gwoździe wbijane w rdzeń i siekiery
ociosujące łydki.

Musi posiwieć od wiedzy,
którą przynoszą burze i śniegi.

Nagi pień jest wybrykiem natury,
zbędnym jak listopad targający
sukienkę liści.

Odsłania świadectwo niepojęte,
porażające prawdą.

Prawda nagiego pnia
jest nieludzka;

tak naga,
że razi w oczy,

czasami prosto
w serce.

Zwyczajne igraszki losu

Nocą przechodzi przez mój pokój
zielony kot,
ma szklaną sierść
i oczy wielkie jak smok.

W pysku niesie mysz
i kładzie mi u nóg.

Mysz jest fioletowa,
ma ogonek z flaneli,
i czerwone uszka;

podchodzę do lustra,
widzę kogoś obcego,
ma sine oczodoły
i makijaż clowna.

Spod sufitu
urywa się śmiech i spada
na podłogę,

podnoszę go, patrzę,
a to los bawi się ze mną
w kotka i myszkę.

Wróbelek przemijania

Edith Piaf

Zima,
za oknem śnieg niebiescieje
jak na obrazach Fałata, lekka odwilż,
wróbelki podskakują wesoło,
cała chmara wróbelków,
nacieszą oczy,
duszę,
odfruną.

Jeden przysiadł naprzeciw okna,
wpatruje się we mnie, przekrzywia łepkę,
ćwierka tak, że wyraźnie rozpoznaję melodię.

*ne me quitte pas
ne me quitte pas*

Dobrze, zostanę,
ale i ty trwaj, wróbelku, przez całe moje życie,
niech nie mijają mnie czasy, ludzie, rzeczy,
psy, koty, wróbelki,
niech świat nie ubywa
ze mnie na raty,
po kolei,
stale.

*ne me quitte piaf
ne me quitte piaf*

... nie opuszczaj mnie

Czarna wrona

We śnie
biała łasiczka Jej dłoni
biega po mojej pościeli,
kładzie mi się na czole
i zastyga w chłodnym
oczekiwaniu.

Otwieram oczy,
dłoń zlewa się z bielą ściany,
ściana wnika w przestrzeń szpitala,
szpital zamienia się w dom wariatów
(biała łasiczka Jej dłoni
nadal biega po mojej pościeli).

Dopada mnie biała gorączka,
przychodzi lekarz w białym kitlu,
zaczyna padać biały śnieg,

po nim chodzi wrona,
kracze,
zaraz wykracze.

Galilaeae vicisti

Chłód, mrok,
zamurowany krzyk generała,
zamurowane myśli Zygmunta,
zamurowany płacz Orcia,
zamurowani krewni.

Cisza.
Idealna cisza.

Po wilgotnej, chłodnej posadzce kręcą się
małe jaszczurki niczym wskazówki na zegarze
prehistorii;

czas wydaje się nierzeczywisty,
życie – nieprawdopodobne,
wiosna – zmyślona.

Jeśli Bóg zwyciężył,
to nie wiedzieć po co.

Opinogóra, krypta Krasieńskich, 22 lipca 2007 r.

Umieramy, zmartwychwstajemy

Ach, jak romantycznie umierać na przedwiośniu,
w lutym, a jeszcze lepiej w marcu,
kiedy już puszczają się pączki,
spod ziemi przebijają się forpoczty fiołków,
łaty śniegu, jak u Fałata, błękitnieją
cieplejszym światłem.

Wtedy wszystko jest strumieniem piękności
i jeszcze nie wie, że skończy w turpistycznym bestiarium
(pani pozwoli do *dance macabre*
do *menueta z pogrzebaczem*).

Życie to *rozbieranie do snu*,
wieszamy siebie na hakach po kawałku,
tu różowe obłoki płuc, tam fioletowa wątroba,
uda, które już nie drżą, połcie sinego mięsa,
podróbki wierszy;

dusza – w chłodni,
zawinięta w srebrną folię albo w zwykły pergamin
(ja wolałbym w pergamin,
to takie literackie).

Duchowi prędzej czy później ktoś da w pysk
i pójdzie.

Zostaną po nas krypty i kryptocytaty
oraz puste haki,
do których będą pretendować młodzi poeci,

a my siądziemy wysoko na krześle chmury
i będziemy wpatrywać się w medalion z podobizną Delfiny,

bo umiera się tylko od miłości i wiosny,
bo dla nich się zmartwychwstaje.

Opinogóra, krypta Krasieńskich, 22 lipca 2007 r.

Niewiedza małego Hansa

Profesorowi Stanisławowi S. Nicieji

Stoję nad tablicą nagrobną Hansa Wailanda,
który żył od 29 października 1919
do 11 sierpnia 1920 roku –

przypadkowy przechodzień
nad przypadkowym epitafium.

Nie wiem, kim był mały Hans, gdy się urodził
i gdy umierał w wieku dziewięciu i pół miesiąca,
i dlaczego stanął na mojej drodze?

Stanął i nie schodzi,
jakby zagradzał mi tę drogę,
jakby chciał powiedzieć, żebym nie szedł dalej,

ale przecież trzeba iść do końca,
tak jak on,

iść do kresu,
potem wtopić się w kamień,
zastygnąć w literze,

mówić innym: ty jesteś, ja byłem,
każdy z nas jest na tej drodze
kamieniem milowym.

Więc co jeszcze mały Hans
chce nam powiedzieć?
czy coś, czego nie zdążył?
czy coś, o czym się dowiedział?

Mały to i głupi,
nie wie jeszcze, że nikt nie zdąży,
że nikt się nie dowie.

Kwestia powagi

Irenie Pieleńskiej

Na Niby
niechętnie obserwuje Naprawdę.
Na Niby się nie angażuje,
w każdej chwili może się wycofać,
ma do perfekcji opanowaną sztukę dystansu
oraz poczucie humoru,
o które tak trudno i które wymagają inteligencji,
poczucia dystansu i humoru,
Na Niby jest mistrzem erystyki i tolerancji,
rzecznikiem relatywizmu, a nawet pobłażania;
jest ludzkie,
zupełnie nie wiadomo, dlaczego niezbyt szanowane.

Naprawdę
czuje się niedobrze w wielu sytuacjach, wierci się,
marudzi, polemizuje, a uparte, że ho, ho,
Naprawdę docieka wszystkiego, docieka, że aż zęby bołą,
jest upierdliwe, ortodoksyjne, maniakalne
(o poczuciu dystansu i humoru nie wspominajmy),
Naprawdę pyta: czy na pewno naprawdę? I robi to
stanowczo za często, z Naprawdę nie da się normalnie
rozmawiać; najgorzej jest krzyczeć na Naprawdę,
wtedy szybko szklą mu się oczy i drży dolna warga,
Naprawdę jest bardzo serio.

Na Niby naprawdę jest fajniejsze,
Naprawdę na niby bierzemy serio.

Kłamstwo w kolorze écru

Zawsze jest mężem Wieczności,
to piękna para,
papużki nierozłączki,
Lelum Polelum,
Pixi and Dixi,
Brad Pitt i Angelina Jolie.

W każdą niedzielę wychodzą na spacer
po tłumnym bulwarze Nigdy Niezachodzącego Słońca
(Nigdy to ich urocza córka)
albo po Parku Stale Kwitnących Jabłoni
(Stale to ich rezolutny syn);
ludzie patrzą na to szczęśliwe stadło
i niewiele rozumieją.

Mijają, odchodzą,
córka po matce, syn po ojcu,
pokolenie po pokoleniu.

Dopiero Tam widzą,
że Wieczności nie ma – ulotniła się na zawsze,
nie wiedzieć z kim i gdzie,
widzą, że Zawsze zdradza żonę co chwila z Piękną Chwilą,
Nigdy została rozpustną lolitką,
Stale się puszcza z gejami,

a Mity przekazywane z pokolenia na pokolenie
to jarmarczna tandeta owinięta dla niepoznaki
w papier wydarty ze starych ksiąg
w szlachetnym kolorze écru.

Zawsze

Nie ma Zawsze.
Zawsze jest złudzeniem.

Zawsze się tylko wydaje.

Zawsze jest rzadziej niż nigdy,
to znaczy: nigdy nie jest Zawsze.

Zawsze o tym zapominamy,
nigdy o tym nie pamiętamy.

Zawsze nie jest nawet odtąd dotąd,
ani odkąd dokąd,
bo Zawsze może być
od kiedy do kiedy,
ale od kiedy do kiedy
wyklucza Zawsze
na zawsze.

Żywioty

Światło nas uwidacznia, wydobywa z ciemności, stawia
w świetle dnia, obdarza nas konturem i wyglądem,
choć co do wyjścia z mroku jasności nie ma. Mrok
jest wieczny i naturalny; jasność przebija zza rozdartej skóry
nocy, wdziera się na chwilę i pozostawia po sobie bliznę.
Liżemy ją; ona boli, potem już tylko swędzi.

Czas istnieje ponad nami. Wypływamy na jego powierzchnię,
przebijając błonę nieistnienia; łapiemy czas łączywie w usta,
wciągamy w płuca; wiecznie go za mało, dusimy się, siniejemy,
opadamy na dno, ponieważ czasu nie staje,
nasze szkielety padają jeden na drugi, tworzą w ciemnościach
wielką Górę Bezczasu, którą spowija ciemność.

Życie i ciało są z innego wymiaru; one chcą nas uwiarygodnić,
powiedzieć, że jesteśmy, chociaż nas nie ma, postawić w świetle,
wyposażyć nas w butlę z czasem, abyśmy nurkowali ku
[powierzchni,

ku jasności – to jest cała wielowątkowa fabuła istnienia,
porywająca, pełna pokus, kolorowa. Ona od wieków
szuka szczęśliwej puenty. Fikcja zatacza się ze śmiechu.

Krajobraz

Życie jest dodawaniem.
Po kolei na liczydła czasu nizamy nowe
monety losu, za nie kupujemy mieszkania, auta,
kobiety, meble, obrazy, książki,
piszemy wiersze
pełne zieleni i pejzażu,
które otwierają nam okna
na sens
miłości i zachwytu,
polerują w naszej duszy
precjoza dobra
i bibeloty piękna,
ale potem życie
przechyla się przez mur zmęczenia
i staje się odejmowaniem;
po kolei znikają gdzieś
przymioty młodości,
opuszczają nas auta, kobiety, precjoza, bibeloty,
zostają wierne książki,
stare meble,
fotel z wytartym siedziskiem,
biurko z lampką
i wiersze,
które zamykają nam okna
na sens.

Za nimi
krajobraz bez pejzażu.

Piekła nie ma

*W życia wędrówce, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi
W głębi ciemnego znalazłem się lasu...*

(Dante, *Piekło*)

Zacznij od zagajnika, idź
skacząc po górach, przeskakując pagórki,
depcz trawy (podniosą się),
wdychaj zielen (niechaj cię dotleni),
zanurz dłonie w rosie (czystość rąk się liczy).

Potem będzie dorodny młodniak,
rozchylaj gałęzie uważnie (nie łam nigdy niczego),
patrz pod nogi (śmierć mrówki
może zaciążyć nad całym twoim życiem),
zachowuj się cicho (hałas jest zadawaniem bólu).

Kiedy zaczniesz się ciemny bór,
kieruj się promieniami słońca (one muszą się
gdzieś tutaj sączyć; poszukaj tego światła koniecznie,
to warunek dalszej drogi),
pod wieczór przycupnij pod bezpiecznym konarem (oprzyj plecy,
daj odpocząć nogom; oczy niechaj przyzwyczajają się do
[ciemności;

droga musi się uczyć iść dalej bez ciebie),
nad ranem zaśnij (mrówki usypią ci kopiec, las weźmie cię w siebie
i zamieni w tlen, droga skręci w stronę
odwiecznego sensu; piekło zamieni się w niebo).

Śmierć nad ranem

Jest styczeń,
z mojego komputera sączy się *Summertime*,
Aretha Franklin i Louis Armstrong wspinają się
na szczyt mojego skupienia, rzednie powietrze,
w kryształach perspektywy widzę zbliżenie
ziemi i nieba, jasnoniebieska farbka
spływa z szyby, przez którą widać świat,
zaraz słońce zacznie już nigdy nie wychylać się
z szarości zimowego brzasku,
może uda się nie otworzyć oczu,

wyplakać resztkę farбки,

od szyby odkleić nos,

świat zostawić samu sobie.

Post scriptum

Kiedy poczujesz ten ból w nogach
i w lustrze dojrzysz twarz Doriana,
a przyjaciołom miny zrzędną,
co wtedy zrobisz? Wszystko jedno.

Kiedy już widzisz pętlę losu
lub horyzontu ostry brzeszczot,
a barwy świata tak krwawią, że bledną,
co wtedy wyznasz? Wszystko jedno.

Kiedy dopali się ognisko,
czy przesiać popiół, szukać w nim
tych resztek, w których jeszcze sedno
tli się na koniec? Wszystko jedno.

ANEKS

Wiersze dla Meli

Latem 2004 roku, w 60. rocznicę likwidacji getta łódzkiego, nakładem przyjaciół ukazał się tomik wierszy Melanii Fogelbaum pt. *Zeszyt z Getta w Łodzi*.

Autorka została zagazowana w Auschwitz-Birkenau dnia 1 sierpnia 1944 roku.

Melania Fogelbaum

[5 VI 1911 - 1 VIII 1944]

Melania Fogelbaum
była Żydówką z łódzkiego getta
(Litzmannstadt Ghetto – to nazwa lepiej znana).

Była malarką i poetką. Kochała sztukę,
Chorowała na gruźlicę.

Do Auschwitz-Birkenau wywieźli ją na leżąco,
sił nie miała.

Jej ciała nie szukano i nigdy nie znaleziono,
tak jak nie znaleziono ciała Jezusa,

ale w Łodzi na podwórku przy ulicy Marynarskiej
Leon Kowner, przyjaciel, znalazł jej podarte zdjęcie;

dzięki temu przetrwały do dziś dwa zdjęcia Melanii Fogelbaum,
a garstkę jej rękopisów przyjaciele wydali po latach w cienkiej
[książeczce
(oryginały spoczywają w United States Holocaust Memorial
[Museum Washington DC).

Kiedy czytałem wiersze Meli,
wstrząsnął mną Wielki Płacz,
który – jak krzyk Marsjasza –
posiwił i zdrewniał,
zanim się wydobył.

Pierwsze zdjęcie Meli

Pierwsze zdjęcie Meli pochodzi z roku 1940;
tu jeszcze młoda, ma 29 lat,
włosy długie, gęste, zaczesane do góry na modłę
lat trzydziestych.
W rękach trzyma emaliowany garnuszek, rynienkę,
przyciska ją do ust
i coś pije.
Wpatrują się w nas jej oczy,
przenikają,
przechodzą dalej,
nie wiadomo, co widzą dzisiaj.

Drugie zdjęcie Meli

Na drugim zdjęciu jest stara,
ma już chyba 33 lata,
włosy w większym nieładzie,
ostre rysy, wzrok mniej przytomny,
ale nadal wpatrzony
w ten sam punkt
za nami.
To zdjęcie posklejał syn Leona Kownera,
Elyasaf,
i dzięki temu Mela
jest jak żywa,
zwłaszcza jej usta zaciśnięte
chęć coś powiedzieć,
to wyraźnie widać – na ich brzeżku siedzi jakieś słowo,
zbiera się do lotu,
może to słowo „jestem”,
bo Mela na tym zdjęciu jeszcze jest.

Mela i lalki

W Litzmannstadt Ghetto
była izba upamiętniająca życie szczęśliwych Żydów.
W oszklonych gablotach pejsate lalki
podczas codziennych zajęć,
chasydzkie wesele,
szabasowe sceny –
wśród nich krzątała się Mela
(była wtedy w wieku średnim, miała 31 lat),
żyła wśród eksponatów,
zapewne po kryjomu rozmawiała z nimi,
obiecowała im lepsze czasy,
przymilała się do skrzypka,
który z drewnianych strun wydobywał
głuche milczenie.

Mój płacz

Ośc płaczu
utkwiała w moim gardle.
Chcę rozmawiać z Mela,
ale do niej dociera tylko
głuche milczenie czasu.
Wydobynam z siebie krzyk,
ale do niej dociera dym spalonych słów.
Potrząsam ją za rękę,
ale Mela patrzy poza mnie i ani drgnie;
w jej twarzy tężeją pytania,
które zadajemy jej po latach.
Sepia jak wyblakły ogień
pochłania resztę.

SPIS TREŚCI

CHANDRA MIŁOŚCI	3
Tryptyk aforystyczny	4
Te ciemne dni bez miłości	5
*** (<i>Sawanna...</i>)	6
Nad ranem	7
Wilczy głód	8
Małe perwersje	9
Duże perwersje	10
Erotyk bez sensu	11
Sobą?	12
Erotyk dla rywala (II)	13
Moja Ef	14
Bitwa pod Wzruszeniem	15
Kapitulacja	16
Jej Pacyfik	17
Hostia	18
Kobiety Egona Schielego	19
Pytanie o sens	20
Spis cudzołożnic	21
Kot w worku	22
Kot	23
Blizna	24

Nasza komedia	25	Pochwała wiersza prawdziwego	56
Luciano Pavarotti	27	Radość pisania	57
Święta Monika	28	Obrońca utopii	58
Démon de midi (II)	29	Poezja i krytyka	59
Obraz w ramie	30	Luiza	60
Poderżnięte gardło ciała	31	Poeta ucieka	61
Ciemność, cierpkość	32	Życiopisanie	62
Droga z Krakowa do jesieni	33	Idź przodem	64
Napisz mi, Droga	35	U Starego Poety	66
Podróż do kresu nocy	36	*** (<i>Ten wiersz...</i>)	67
Czy dojedziemy, Droga?	37	*** (<i>Wiersz powinien być...</i>)	68
Camera obscura	39	Mroczny wiersz	69
Rozstanie	40	Milczenie poety	71
Przepaść	41	Dziki wiersz	72
Późne popołudnie 21 lipca 2007 roku	42	Wiersz nienapisany	73
Wilanów, lipcowy zmierzch	43	Wypiek	74
Zuzanna i starzec	44	Nocne pisanie	75
Obok	46	Ćmiący atak wiersza	76
Mężczyzna potrafi	47	Złodowacenie wiersza	77
W ławicy	48	Memento wiersza	78
CHANDRA POEZJI	51	Płomiennność	79
Jak powstaje nowy wiersz	52	Szklany poeta	80
Wspinanie, upadek	54	*** (<i>Muza sypia...</i>)	81
		Wilki Rafała Borcza	82
		Plama wiersza	83

Wiersz po dwóch butelkach piwa	84
Świtezianki	85
Młodzi poeci	86
CHANDRA LOSU	89
Trzcina	90
Czeski błąd	91
Nawet się nie śni filozofom	93
Wiersz agnostyczny	94
Wiersz optymistyczny	95
Bezdotykn	96
Kult czulego szczegółu	97
Widok z mojego okna	99
Tęcza	100
Starzy mężczyźni	101
Echo	103
Siostry niemiłosierdzia	104
Tafla snu	105
Świerszcz	106
Droga	108
Monolog do lustra	109
Nad wodą wielką, nieczystą	110
Drzewo życia	111
Zwyczajne igraszki losu	112

Wróbelek przemijania	113
Czarna wrona	114
Galilaeae vicisti	115
Umieramy, zmartwychwstajemy	116
Niewiedza małego Hansa	118
Kwestia powagi	120
Kłamstwo w kolorze écru	121
Zawsze	122
Żywioly	123
Krajobraz	124
Piekła nie ma	125
Śmierć nad ranem	126
Post scriptum	127

ANEKS. WIERSZE DLA MELI	129
Melania Fogelbaum	130
Pierwsze zdjęcie Meli	131
Drugie zdjęcie Meli	132
Mela i lalki	133
Mój płacz	134